



Stanisław Kuszewski

Po wertepach historii (fragmenty)

Mój wrzesień Wspomnienia – z dygresjami

Preludium

Tego dnia po raz pierwszy znalazłem się w opozycji wobec osób dorosłych. A było to tak: już od wczesnego rana, nasze najukochańsze Polskie Radio alarmowało słuchaczy, że oto staliśmy się obiektem zdradzieckiego napadu ze strony odwiecznego wroga, mamy więc wojnę. No ale - rzecz oczywista – nawała rozbójników rozbija się o stalowy mur oporu Polskiej Armii, mającej niezłomne poparcie całego narodu.

Dzień był pogodny i ciepły, jakby sama natura udzielała przyzwolenia temu, co właśnie miało nastąpić.

Gdzieś koło południa, na ławeczkach przed naszym domem, wśród klombów i grządek, zebrała się grupa osób, sąsiedzi i znajomi, głównie zresztą kobiety. Temu zaś o czym mówili, przysłuchiwałem się wprawdzie z szacunkiem, jaki dobrze wychowane dziecko winno okazywać starszym, ale też i ze wzrastającą dezaprobatą: mówiąc oględnie, dorośli przejawiali brak entuzjazmu wobec niechybnie czekających nas atrakcji. Tymczasem ja wiedziałem swoje: wojna, a więc nareszcie da się samemu zobaczyć to wszystko, czym dotąd urzekały mnie już zaliczone lektury. A że w książkach wszystko obojętnie kończyło się dobrze i szczęśliwie, było przeto jasne, że i ta, rozpoczynająca się właśnie przystępnie, musi znaleźć zaszczytne i bohaterskie rozstrzygnięcie.

Później dopiero miało się okazać, że obie strony miały swoje racje: dorośli przerażeni tym, co mogło nas czekać, i ja – ponieważ faktycznie zaczynały się dziać rzeczy ciekawe, chociaż wyglądało to inaczej, niż mógłbym sobie tego życzyć.

Mój ojciec był zawodowym podoficerem w stopniu starszego sierżanta, nie służył jednak w „linii” - był pleno tytułu kierownikiem sekretariatu w Rejonowym Sądzie Wojskowym, zatem urzędnikiem, tyle, że w mundurze. Dysponował wprawdzie paradną szablą, ale chyba sztacheta, wyrwana z wiejskiego płotu, mogła stanowić oręż o wiele bardziej groźny. Dopiero na kilka dni przed wojną, otrzymał był służbowy pistolet, ale – prawdę mówiąc – nie jestem pewien, czy w ogóle umiałby się czymś takim posłużyć.

* * *

Wróćmy przeto do naszej ławeczki, to jest do opisanej na wstępie rozmowy osób dorosłych, która wywołała tak głęboką moją dezaprobatę. Otóż przede wszystkim miałem do nich głęboki żal za wyraźny brak w ich postawie patriotycznego entuzjazmu i gdyby nie chodziło tu także o osoby mi najbliższe (była tam przecież i moja matka) bliski byłbym posądzeniu ich o pospolity defetyzm, przed którym – jako jednym z największych zagrożeń – przestrzegali nas nieustannie spikerzy radiowi.

Wspominałem już o skutkach indoktrynacji, czy też może ładniej byłoby to nazwać – obywatelskiego wychowania, adresowanego także i do młodzieży szkolnej. Spróbujemy to pokrótce objaśnić.

Pociągała mnie przede wszystkim „literatura akcji”. Nie dało się pominąć – oczywiście – Duchów puszczy i innych Baxterów, gdzie mężnie walczone z koszmarnymi Indianami, ale ponad wszystko przedkładałem i pamiętniki i powieści dotyczące wojny z bolszewikami.

Było ich sporo, ale dziś nie umiałbym przywołać ani jednego tytułu. Nie ostały się więc w mojej pamięci tytuły, uchroniły się natomiast niektóre epizody. Nadal na przykład towarzyszy mi metafora wyczytana w pamiętniku jakiegoś podoficera – uczestnika potyczki pod Baranowiczami czy też Mołdeczmem – nieważne. Został on mianowicie ostrzelany przez „Mochów”, jak na nich mówiono, co opisując posłużył się zaskakującą metaforą „głupia kula przeszła mi pod pachą...”. Nawiasem mówiąc przedziwna bywa żywotność podobnych metafor: im mniej w nich sensu tym dłużej się je pamięta. Przecież – na zdrowy rozum – o kuli, która przechodzi nam pod pachą, wypisywać można różne rzeczy, ale uznać ją za głupią? Racjonalnie rzecz ujmując, taką kulę cechuje wysoki współczynnik inteligencji. Głupia jest dopiero ta kula, która trafia w nas.

Wszystkie te dzieła miały pewną cechę wspólną, chociaż traktowały o różnych wydarzeniach. Wojna mianowicie funkcjonowała w nich jako pasjonująca przygoda, no i w dodatku jako arena wiekopomnego triumfu polskiego oręża. Ruiny zaś, zgliszcza, przemoc, krzywdy ludzkie, kalectwo czy śmierć – wszystko to były detale nie zasługujące na obszerniejszą wzmiankę.

Nie umiem dzisiaj określić, ile dowiedziałem się z radia, ile zaś zawdzięczam akademiom szkolnym, imprezom okolicznościowym, z defiladami włącznie, lub też plakatom: przecież z każdego słupa ogłoszeniowego miesiącami agitowały nas miłe sercu hasła typu „Silni, zwarci, gotowi!” czy też „Nie odamy ani jednego guzika”.

Obok zaś wykonywanej przy każdej nadarzającej się okazji pieśni legionowych, z niezapomnianą „Pierwszą Brygadą” na czele, pojawiać się zaczęły także i nowe dokonania, jak choćby swoisty hymn sławiący naszego znakomitego Wodza: „On nas wywiedzie cało z każdej zawieruchy” (...) „Nikt nam nie zrobi nic, bo z nami Śmigły, Śmigły-Rydz!”, no i wreszcie passus ponad wszelką wątpliwość potwierdzający jego wysokie kompetencje: „Sam Komendant, sam Komendant nam go na wodza dał”.

Ufając temu wszystkiemu bez zastrzeżeń mogłem przeto z optymizmem oczekiwać na przebieg zbrojnego konfliktu: silna, dobrze uzbrojona, mająca znakomitych dowódców, głównie tych z piękną tradycją legionową, bohaterska, opromieniona sławą zwycięskiej batalii z 1920 roku, wsparta niewzruszoną wolą i jednością narodu armia, musiała być stuprocentową gwarancją nowego, wiekopomnego militarne go sukcesu.

Katastrofa

Ze wszystkich dobrodziejstw ówczesnej cywilizacji, bez których nawet nie sposób wyobrazić sobie dzisiaj codzienną egzystencję, mieliśmy wówczas do dyspozycji tylko dwa: elektryczność oraz radio. Wprawdzie była jeszcze kolej żelazna, ale z tego znakomitego wynalazku korzystaliśmy właściwie tylko raz w roku: w związku z wyjazdem na lotnisko do Szczukowskich Gór.

Pierwszym odbiornikiem w naszym domu był detektor: mała skrzynka z umieszczonym we wnętrzu kryształkiem, dzięki któremu – jeżeli umiejętnie posterowało się pokręteł – można było wylawiać z przestrzeni impulsy przekształcające się w słuchawkach w dźwięki muzyki albo i ludzkiej mowy.

Wreszcie pojawił się odbiornik, który grał, jeżeli po prostu włożyło się wtyczkę do gniazdka elektrycznego.

Polskiemu Radiu zawdzięczam m.in. pierwsze kontakty z Chopinem, choć przyznam ze wstydem, że poza może Polonezem A-dur oraz Marszem Żałobnym, inne jego dzieła wydawały mi się wówczas zbyt trudne w odbiorze.

We wrześniu 1939 roku, kiedy radio w praktyce stawało się jedynym, dostępnym sposobem porozumienia się społeczeństwa z samym sobą, coś w trybach tej maszyny radiowej zaczęło się zacierać.

Od paru dni trwała już wojna, wszyscy więc od radia głównie oczekiwali informacji o biegu wydarzeń. Tymczasem emitowane z eteru komunikaty, były zadziwiająco mało konkretne. Najpierw dowiedzieliśmy się, że Westerplatte ciągle mężnie się broni, co traktowano jako najważniejsze doniesienie z pola walki. Dalej już ogólnikowo, że nasza dzielna armia z honorem odpiera ataki nieprzyjaciela, że pod Częstochową zniszczono 100 czołgów niemieckich, że były wprawdzie liczne naloty na bezbronne polskie miasta, ale nasi piloci i obrona przeciwlotnicza strącili kilkanaście wrogich samolotów. I tyle.

Rozbudowywano natomiast na antenie wówki, nazwijmy to, instruktażowe, ostrzegające przed różnymi niebezpieczeństwami, czyhajęcymi na obywateli. O ile pamiętam, wymieniano trzy główne za-

grożenia, i to bez mała na miarę zdrady stanu: defetyzm, panikarstwo oraz brak czujności wobec piątej kolumny.

Wynikało z tego, że każdy, kto uległ panice albo w obecności osób trzecich powątpiewał w korzystny dla nas bieg dalszych wydarzeń, miał być co najmniej napiętnowany publicznie, jeśli już nie stawiany przed sąd wojenny.

Co się zaś tyczy tak zwanej piątej kolumny, ostrzegano na przykład przed podnoszeniem z ziemi pozornie przypadkowo porzuconych przedmiotów, nawet gdyby wyglądały jak zwyczajne ołówki, bo mogą się okazać perfidnymi minami powodującymi przy dotknięciu kalectwo a nawet śmierć. Należało także wystrzegać się cukierków, ponieważ mogą okazać się zatrute.

Zalecanym sposobem demonstrowania woli walki miał być możliwie masowy udział w czynie kopania rowów przeciwlotniczych.

Zobligowany tedy przez Polskie Radio, wierząc mu jak wyroczni, przystąpiłem, na miarę swych możliwości, do wypełniania patriotycznych obowiązków. Nie mógł być przecież od tego zwolniony żaden Polak, nawet jeżeli liczył sobie dopiero dziesięć lat.

Zgłosiłem się więc do kopania rowów przeciwlotniczych. Ryto ich właśnie kilka, w tym jeden niedaleko naszego osiedla. Oczywiście wybrałem najbliższy.

Komendant wykopu przyjrzał mi się nieco ironicznie: łopata była chyba większa ode mnie, stąd i pożytek z mojej pracy nie zapowiadał się najlepiej. Poleciał jednak wydać mi sprzęt i dopuścił mnie do pracy. Poza wszystkim bowiem, liczył się jeszcze efekt propagandowy: mały szkrab, machający większym od niego narzędziem, powinien był swoją postawą zachęcać silniejszych.

Sprawiedliwość każe mi poświadczyć, iż miały w Kielcach miejsce dwa mini naloty. I oba wyglądały dość podobnie. Oto po bezchmurnym niebie leniwie pęłżyły sobie po trzy niemieckie maszyny, lecące na dość przyzwoitej wysokości. Walily zaś do nich, regulaminowo, krótkimi seriami, trzy rozmieszczone w różnych punktach miasta CKM-y. Wyglądało to nawet dosyć malowniczo. Pociski kaemów, jak race podczas karnawału, kreśliły świetliste smugi po niebie, po czym rozplywały się gdzieś w przestrzeni.

Bardzo zafrapowało mnie to widowisko, nie bacząc więc na nawoływania matki, wybiegłem na sam środek podwórza, ażeby jak najdokładniej to obejrzeć. Rzecz jasna, ani mi w głowie nie było chować się do rowu, w którego powstaniu miałem przecież swój udział.

Przy drugim nalocie na miasto do trzech kaemów przybyło małokalibrowe działko przeciwlotnicze, plujące w niebo seriami po 5 pocisków.

Jak się okazało, niemieckich lotników interesowała głównie linia kolejowa, zwłaszcza odcinek pomiędzy Dworcem Głównym a towarowym dworcem Kielce-Herby. Bomby trafiały celnie, jedna nawet wprost w budynek dworcowy, tyle że nie wybuchła: utkwiała w suficie i przez pewien czas stanowiła postać dla podróżnych.

W sumie przecież, większych szkód nie wyrządzili, zwłaszcza, że tą linią już od dobrych paru dni, nie kursowały żadne pociągi wojskowe.

* * *

Ulica przy której mieszkaliśmy, nazywała się wówczas Czwartaków. Już od 2 września, ulicą obok naszego domu, jedna za drugą, przetaczać się zaczęły chłopskie furmanki, wyładowane po brzegi. Za niejedną, prowadzono na postronkach krowy i cielęta, niekiedy także konie, dla których zabrakło miejsca przy dyszlu.

Na tych furmankach, zagrzebani wśród domowych rupieci – uchodźcy – zwani rajzerami – liczne nieraz rodziny. Pomęczeni i jakby zrezygnowani, cierpliwie znosili monotonne podrygiwania wozów po solidnych, przedwojennych kocich łbach – podstawowym rodzaju nawierzchni drogowej tych czasów.

Przez dwie długie doby, pod naszymi oknami, wychodzącymi właśnie na ulicę Czwartaków, przetaczała się ta przygnębiająca kawalkada, podążając trasą na Daleszyce, Łągów, Opatów – w stronę Wisły.

Tragizm owego exodusu, polegał nie tylko na tym, że nie zdołali wygrać wyścigu ze zmotoryzowanymi kolumnami niemieckiego wojska, natomiast stawali się nim doszedł do nich pościg – wielce dogodnym celem dla asów hitlerowskiej Luftwaffe.

Uciekinierów z ich domostw wyganiał zwyczajny, ludzki strach przed niebezpieczeństwem, jakiego dotąd nie znali.

Jednym z moich najlepszych kolegów, a może i przyjaciół w klasie był Wojtek Stankiewicz, syn kapitana, sędziego, skądinąd bezpośredniego przełożonego mojego ojca. Często w jego mieszkaniu bawiliśmy się ołowianymi żołnierzkami (sam czegoś takiego nie miałem). Że zaś hierarchie, nie tylko w wojsku, przestrzegane były z żelazną konsekwencją, sam fakt, że syn oficera jako towarzysza swych zabaw zaakceptował syna starszego sierżanta, należało traktować jako wyróżnienie. Równość ustalała przecież w związku z ewakuacją. Tatuś Wojtka miał do dyspozycji służbowy samochód, wobec czego w porę dotarł do Zaleszczyk, skąd – jak tysiące innych – przez Francję do Anglii. Nie miałem jednak

czego Wojtkowi zazdrościć. Właśnie w Anglii, ażeby dziatwę uchronić przed skutkami niemieckich nalotów, Wojtka i parę setek innych małolatów zaokrętowano na statek i odesłano do Stanów Zjednoczonych. Aliści, storpedowani przez U-boot, poszli na dno. I to był jedyny z moich kolegów, którego zabrał mi wrzesień 1939.

* * *

5 września po południu otrzymaliśmy polecenie, ażeby natychmiast przygotować się do wyjazdu: postanowiono bowiem, że rodziny wojskowych muszą być z Kielc wywiezione.

Matka więc czym prędzej spakowała kilka okazałych tobołów, była w nich przede wszystkim pościel.

Nie pamiętam już, jakim sposobem dotarliśmy na miejsce zbiórki, tzn. na niewielki dziedziniec przy ul. Kapitulnej, obok dotychczasowej siedziby dowództwa 2. Dywizji Piechoty Legionów. Tu właśnie mieliśmy czekać na jakieś środki komunikacji.

Noc była dość chłodna, zagrzebaliśmy się przeto – matka, ja i troje młodszego rodzeństwa – pomiędzy tobołami z ową nieszczęsną pościelą. Wkrótce też, zebrała się obok nas spora gromadka – kilkadziesiąt osób. Nikt jednak nie uprowadzał ze sobą tak licznej, jak moi rodzice, dzieciarni. Wszelako, zapowiadanego wcześniej autokaru – ni śladu.

Nawet nie próbowałem usnąć, bowiem tuż obok nas nieprzerwanie działał czy to jakiś sztab czy punkt łącznikowy. Prawie bez przerwy wydzwaniał w nim telefon, taki solidny z korbką, którą należało pokręcić, jeżeli chciało się uzyskać połączenie. W dodatku, co pewien czas, podjeżdżali na motocyklach łącznicy, chyba głównie oficerowie. W pośpiechu, zaaferowani, wbiegali do pomieszczenia z telefonem, przeskakując po kilka stopni, po czym – z równą szybkością – dopadali do swoich motocykli, z prawidłowo zaciemnionymi reflektorami i znikali gdzieś w przestrzeni. Wszystko to, wyglądało dosyć ekscytująco.

Pełnia księżyc, bezchmurne niebo, widoczność – znakomita. Nie sposób było jednak zlokalizować gdzieś tam, nad nami krążącego samolotu. Ten odlatywał, potem znowu wracał, bucząc jak natrętny komar, którego nie można odpędzić. Gdybyśmy cokolwiek rozumieli się na wojnie, wywnioskowalibyśmy zapewne, że front musi być już gdzieś blisko. Ale po pierwsze, byliśmy w tych sprawach zieloni, po wtóre uspokajał nas fakt, że nikt nie przyspieszał naszego odjazdu.

Zapowiadany autokar, pojawił się dopiero rankiem, 6 września. Mówiąc najogólniej, nie prezentował się okazale, chociaż jakoś – z trudem, bo z trudem – udało się do niego i nas i nasze manatki załadować. No i ruszyliśmy wreszcie, przejeżdżając także i pod naszym domem, trasą chłopskich rajzerów, to jest w stronę Daleszyc, Łagowa i tak dalej.

Nie ujechaliśmy jednak zbyt daleko. Po paru kilometrach, chyba gdzieś na podjeździe pod Bukówkę, kierowca zatrzymał pojazd, chwilę medytował nad prawym, przednim kołem, kolejno poodkręcał wszystkie mutry i oświadczył: awaria.

Nadzorujący naszą eskapadę major (któremu towarzyszyła młoda i atrakcyjna blondynka) bez sprzeciwu przyjął do wiadomości tę diagnozę, zaakceptował też propozycję kierowcy, że ten piechotą wróci do swojego garażu po nowe mutry, co zajmie mu najwyżej pół godziny.

Minęła jednak najpierw jedna godzina, później dwie, a naszego mechanika ani śladu. Kiedy wygrzewając się w słońcu, czekaliśmy cierpliwie na powrót tego kierowcy, gdzieś niedaleko, za pobliskimi wzgórzami, zaczęła się jakaś strzelanina. Dochodziły nas stamtąd niezbyt głośne pomruki, jakby działa niewielkiego kalibru czy też granatnika. Nie trwało to jednak długo i znowu ogarnęła nas cicha błogość sielskiego krajobrazu.

W pewnej chwili, nie wiedzieć skąd, podszedł do nas żołnierz dziwnie błądy. Nawet nie oddał majorowi regulaminowych honorów wojskowych.

– Panie majorze, na Karczówce już są Niemcy!

Karczówka – w linii prostej chyba niecałe dwa kilometry. Major aż zsiniał i wykonał ruch, jakby chciał sięgnąć po pistolet:

– Defetyzm! – ryknął.

Wtedy szeregowiec odpiął lewą kieszonkę munduru i nie bez trudu, wyciągnął z niej swoją książeczkę wojskową. Przestrzelona była na wylot, z tym, że pocisk karabinowy napotkawszy przeszkodę, zmienił nieco swój bieg. Inaczej trafiłby prosto w serce. Żołnierz nosił go jednak w sobie. Na takie dictum, major nie tylko zrezygnował z odprawiania sądu polowego nad panikarzem, ale nawet – trzeba mu to oddać – zadbał, ażeby rannego ulokować w jednym z pobliskich gospodarstw wiejskich.

Nie można było już dalej marudzić, energicznie więc zabrał się do dzieła. Natychmiast przystąpiono do rekwirowania od chłopów podwód czyli furmanek i koni. Major okazał się także łaskawy dla nas: dla matki i całej czwórki dzieci – postanowił zabrać nas do swojego samochodu, wobec czego, większość tobołów zostawiliśmy na przechowanie u pobliskich wieśniaków. Nie muszę dodawać, że kiedy później,

po powrocie z rajzy, usiłowaliśmy odzyskać zdeponowane dobro, ci dobrzy chrześcijanie, oddali nam niewielką tylko jego część.

Pomknęliśmy samochodem majora do Daleszyc. Nie było mu z nami wygodnie, chociaż miał z tego także i pewną korzyść: nikt nie mógł mu zarzucić, że zwiął, pozostawiając boskiej opiece grupę, którą miał eskortować: on wspaniałomyślnie zaopiekował się dziećmi.

* * *

Kapitan Franus był jednym z sąsiadów na naszym osiedlu. Nigdy nie przyswoił sobie dobrych manier. Sam nieraz widywałem go na podwórku i nie pamiętam, ażeby kiedykolwiek odezwał się do kogoś życzliwie.

Za koronny przykład jego prostactwa uznawano fakt, że kiedyś przed frontem kompanii, którą dowodził, osobiście kopnął w tyłek szeregowca.

Kiedy na rynku w Daleszycach, razem już z tymi, którzy doszłusowali do nas spod Bukówki, ulokowaliśmy się znowu w chłopskich furmankach, daremnie czekając na sygnał odjazdu w stronę Łagowa, okazało się, że wśród nielicznej grupy żołnierzy, krążących wokół tego rynku, energią i zdecydowaniem wyróżnia się nasz dobry znajomy, właśnie kapitan Franus: jako najstarszy stopniem sprawował komendę.

Zaczynała się noc, podobnie jak poprzednia z księżycem w pełni i bezchmurnym niebem. I znowu, dokuczliwie brzęczał nad nami samolot, nikt jednak nie zastanawiał się czemu i to akurat nad nami, płacze się w ciemnościach ten cholerny, szwabski wywiadowca.

W pewnej chwili, naszą uwagę zwróciły dwa powoli nadciągające od strony Kielc samochody. Oba z pełnymi, jaskrawymi światłami.

Kapitan Franus nie zawahał się ani przez chwilę, wyskoczył na środek ulicy tuż przed nadjeżdżającą maszyną i wrzasnął:

– Hej, tam, do jasnej cholery, zgasić światło!

I wtedy się właśnie zaczęło. Pierwsze serie karabinu maszynowego niemieckiej pancerki poszły w stronę kapitana i kręcących się wokół niego żołnierzy, następnie waliły już po nas i po naszych furmankach.

Udało się nam jakoś wygrzebać z otaczających nas bambetli i nie tyle zeskoczyliśmy, co sfrunęliśmy na trawnik, stąd – ile sił w nogach – biegiem w stronę najbliższej uliczki. (Po drodze, solidarnie wywracaliśmy się na drucie, którym ów trawnik był ogrodzony). Dopadliśmy wreszcie do jakiejś bramy, za nią na szczęście, znajdowała się obszerna sień, zasunęliśmy skobel i wtuleni w ściany, czekaliśmy na dalszy bieg wydarzeń.

Kilkanaście osób w różnym wieku, ustawiło się pod ścianami, jakby mogło to gwarantować większe bezpieczeństwo. Trwaliśmy tam w głębokim milczeniu, ażeby nie zdradzić naszej kryjówki. Kiedy w końcu ucichła strzelanina, czekała nas nowa chwila strachu: miarowy tupot podkuty, żołnierskich butów informował, że oto tuż za bramą – przechadzają się niemieckie patrole. Czekaliśmy kiedy zaczną się do nas dobijać. Na szczęście takie przeżycie zostało nam przez los darowane.

Ale oto pojawiło się zupełnie nowe zagrożenie: już powoli zaczynało świtać, kiedy dotarła do nas fala intensywnego, słodkawego odoru: gazy!

Nie ma jednak sytuacji bez wyjścia. Natychmiast znalazł się ktoś wysoce kompetentny, znający skuteczne na to antidotum. Należało mianowicie oddać mocz na własną chusteczkę do nosa lub inny odpowiednio duży kawał materiału i oddychać tylko przez ów improwizowany pochłaniacz.

Jakoś wszystkim udało się sporządzić sobie te nieodzowne zabezpieczenia i teraz przez kilka godzin, w głębokiej ciszy i skupieniu, wączaliśmy swoje własne siuski.

Rano, ku naszemu zaskoczeniu, okazało się, że ten szaleńczy ogień prowadzony przez dwie niemieckie pancerki, nie wywołał zbyt wielkich strat. Oberwał właściwie tylko kapitan Franus: wpakowano mu bowiem serię w brzuch. Rannego stojący blisko żołnierze jakimś dziwnym sposobem wynieśli ze środka ulicy do bramy pobliskiego domu, ale nie udało się go uratować. I w taki to właśnie sposób dołączył do grona tych, którzy w obronie ojczyzny dumnie polegli na polu chwały.

* * *

Okazało się później, że potyczka w Daleszycach miała jeszcze jednego bohatera. Był nim mianowicie sierżant Frydenberg, też z sąsiadującego z nami III batalionu 4 PP Leg. Otóż zebrał on wokół siebie grupę żołnierzy, a mieli do dyspozycji ręczny karabin maszynowy i zorganizował obronę zaraz za ostatnimi zabudowaniami miasteczka. Znaleźli tam wysokie i rozłożyste drzewo i właśnie z pomiędzy jego konarów, krótkimi seriami kropili w nadciągającego nieprzyjaciela. Zmusili niemiecką szpicę na czas pewien do powstrzymania marszu. Kiedy naszym skończyła się amunicja, co więcej, zaczął się zbliżać świt, wycofali się do pobliskiego zagajnika. Tu sierżant polecił rozmontować kaem, to znaczy

wyjąć z niego zamek i odrzucić możliwie daleko, a nieprzydatną resztę ukryć w krzakach. Wydał też podkomendnym rozkaz – rozwiązując oddział, polecam, ażeby każdy z was przebiegał się do swoich na własną rękę.

Wkrótce miało się okazać, że zamysł Frydenberga miał jednak racjonalne jądro. Otóż pan sierżant najwidoczniej uznał, że wypełnił już swój obowiązek wobec wojska, w którym tyle długich lat przesłużył. Przeto w pobliskiej chłopskiej chacie zamienił mundur na cywilne lachy i obszernym łukiem, okrążając niedawne pole zmagania, powrócił do Kielc, na łono rodziny, która – widać – zrezygnowała z uczestnictwa w rajzie. Zaraz też przypomniał sobie o jakichś niemieckich przodkach i bez skrupułów podpisał volkslistę. Zapewne nie miał żadnych wątpliwości, jak dalej może potoczyć się historia.

A opisywany tu epizod znani z jego własnych relacji. Kiedy bowiem, po paru tygodniach, udało nam się powrócić na nasze dawne śmiecie, sierżant Frydenberg i nam, i naszym sąsiadom składał kurtuazyjne wizyty, barwnie – przy ich okazji – opisując swoje – w Daleszycach – wojenne przewagi.

* * *

Kiedy rozwidniło się już na dobre, zaryzykowaliśmy powrót na daleszycki Rynek i tu wzdłuż całej szosy, od strony Kielc w stronę Łągowa, jak okiem sięgnąć, jeden za drugim ustawione były samochody, a w nich żołnierze w mundurach Feldgrau.

Przytłoczeni tym widokiem, przyglądając się tej kawalkadzie, długo trwaliśmy w milczeniu, wreszcie z gromady gapiów wysunął się do przodu jakiś chłop. Pamiętam, że był wysoki a głos miał donośny. Z jego dramatycznego monologu zapamiętałem dwa wątki.

Jeden – to pełne gorczy uwagi na temat losu naszych biednych żołnierzy, bezradnych wobec tak niebywalej siły. Wątkiem drugim były skargi na dotychczasowe upokorzenia i krzywdy chłopskie. Zakończył zaś tę – raczej wykrzyczaną niż wypowiedzianą – tyradę, słowami nadziei, że może nareszcie teraz ktoś w naszym kraju zaprowadzi właściwe porządki i zapewni ludziom sprawiedliwość.

Byłem wstrząśnięty. Nie wyobrażałem sobie, że ktoś, kto jest Polakiem, może w ogóle opowiadać takie rzeczy. Następnego dnia Daleszyce zostały podpalone. Nie jestem pewien czy całe, ale na pewno podpalone zostały domy przy drodze prowadzącej w stronę Kielc.

Palilo się to wprawdzie leniwie, nie było bowiem cienia wiatru, lecz konsekwentnie, boć przecież nikomu nie wolno było ich gasić.

A kiedy wędrowaliśmy bezradnie, czwórka brzdąców, trzymając się za ręce chodnikiem pomiędzy okupującą jezdnię kolumną samochodów Wehrmachtu a długim rzędem chłopskich domów przemieniających się właśnie w pogorzelniska, niektórzy z żołnierzy nawet się do nas uśmiechali, proponowali nam też cukierki. Ich życziwe – Komm, komm! – zostało jednak przez nas całkowicie zignorowane. No bo nie dość, że wrogowie, to jeszcze – jak przed tym nas ostrzegało nasze ukochane Polskie Radio – cukierki przecież mogły okazać się zatrute.

* * *

Było tam jeszcze w Daleszycach parę innych epizodów, zasługujących na opisanie.

Najpierw – przypomnę – kiedy kapitan Franus zdecydowanie zagroził drogę samochodowi, który okazał się być niemiecką pancerką, z furmanki, w której byliśmy „zakwaterowani” zwiąc zdołała tylko czwórka: matka, ja, siostra Teresa (7 lat) i brat Sławek (3 lata). Pięcioletni Marek albo tak głęboko zagrzebany był między tobołkami, że nie mógł się z tego wyzwolić, albo tym razem nie dopisał mu refleks.

Jego nieobecność zauważyliśmy jednak dopiero w bramie, która udzieliła nam schronienia. Wrócić jednak po niego na Rynek nie było sposobu: tam dalej toczyła się bitwa.

Dopiero rano, kiedy zdecydowaliśmy się opuścić kryjówkę, rzecz wyjaśniła się szczęśliwie. Otóż ojciec, który przed rozpoczęciem tej militarnej awantury kręcił się wokół grupy żołnierzy towarzyszących kapitanowi, w porę dostrzegł, że Marek nadal siedzi na furmance.

A właśnie spłoszone kanonadą konie poniosły, zaś woźnica leżący plackiem na ziemi twardo postanowił nie ruszać się z miejsca bez względu na okoliczności. Wtedy ojciec nie zważając na toczącą się strzelaninę dogonił umykający wóz, chwycił za lejce i skierował go w jedną z bocznych uliczek. Obok akurat przejeżdżał jakiś zagubiony kawalerzysta, ojciec oddał mu więc swój pistolet, wyciągnął Marka ze sterty tobołów i wbiegł z nim do pobliskiego domu.

Przypadek sprawił, że znaleźli się w mieszkaniu żydowskiego krawca. Tu gospodarz i jego rodzina troskliwie zaopiekowali się dzieckiem a ojcu podarowali jakieś cywilne lachy, oczywiście z tego, co mieli do dyspozycji. Tata opowiedział dokładnie, kto rano może się o Marka upomnieć i ruszył na wschód, uważając iż nikt go przecież z przysięgi wojskowej nie zwolnił.

Rano matce rzeczywiście udało się odnaleźć naszego braciszka i znów – cała czwórka maluchów – odliczyć się mogła w komplecie.

Nie był to jednak koniec naszych przygód. Otóż matka wędrując po miasteczku w poszukiwaniu środka lokomocji, którym moglibyśmy udać się w powrotną drogę, mnie sobie wzięła do towarzystwa. I właśnie kiedy – skrótem przez pole – przechodziliśmy za jakąś kępą krzaków, wokół nas gwizdać zaczęły kule karabinowe.

Szczęśliwie udało nam się wypatrzeć jakieś zagłębienie terenu i natychmiast zalegliśmy w nim bez ruchu.

Nawiasem mówiąc, świergot pocisków karabinowych ma w sobie wiele oryginalnego uroku, bez mała jak ptasie trele w słoneczne, jesienne popołudnie i nic w tych dźwiękach nie zapowiada niebezpieczeństwa.

Prawdopodobnie walono do nas od strony szosy, która przebiegała niedaleko nas. Oczywiście natychmiast mnie zainteresowało kto do nas strzela, ilu ich jest i tak dalej. Korciło mnie więc, ażeby wychylić się spoza naszej opiekuńczej bruzdy i obejrzeć to na własne oczy, możliwie najdokładniej. Matka jednak stanowczo przytrzymała mnie przy ziemi za kark i zapewne dzięki temu mogę to wydarzenie relacjonować.

Strzelali do nas dość długo.

Na szczęście nie użyto przeciwko nam ani artylerii, ani broni pancernej, a kule karabinowe okazały się nader inteligentne i przechodziły obok nas.

Tak czy inaczej uprawnione wydaje się stwierdzenie, że oto wiązaliśmy, matka i ja, sporą grupę nieprzyjacielskich żołnierzy, opóźniając ich użycie na innym odcinku frontu. Niestety nie miało to wystarczającego wpływu na dalszy przebieg działań wojennych. Tego dnia, chociaż już w innej części Daleszyc, ostrzelano nas po raz drugi. Właśnie z uformowaną już wokół jakiegoś wozu konnego grupą „repatriantów” usiłowaliśmy podążyć w kierunku na Kielce, a wlekliśmy się – w sporej odległości od szosy wzdłuż rzeczki, porośniętej po obu brzegach dosyć wysoką roślinnością, kiedy znowu usłyszałem znane mi już z poprzedniej batalii świergotanie. Rzeczka, czy raczej potok, płynęła wąwozikiem głębokim prawie na dwa metry, toteż natychmiast skorzystaliśmy z jego osłony.

Tym razem jednak, nieprzyjaciel skierował przeciwko nam o wiele liczniejszą formację, a ogień trwał dłużej i był bardziej intensywny.

Na szczęście jedyny mężczyzna wśród nas, właściciel furmanki, zresztą inwalida, doczołgał się do wozu, ściągnął z niego kawał białej szmaty, nasadził ją na wycięty z zarośli pręt, przepawił się przez wodę i zasygnalizował tą białą płachtą na kiju naszą gotowość do bezwarunkowej kapitulacji.

Sygnal został zaaprobowany, strzały umilkły a w naszą stronę, w pełnej gotowości bojowej, skierowały się trzy kolumnienki żołnierzy.

Kłękł przechodząc przez rzeczkę, ponieważ woda wlewała im się do butów a fakt, że tak dzielnie wojowali z gromadą kobiet i dzieci, też nie poprawiał im samopoczucia. Uczciwie jednak należy poświadczyć, iż nie zrobili nam żadnej krzywdy.

* * *

Po kilkudniowym postoju w sympatycznej wiosce pod nazwą Kaczyn, gdzie miejscowa ludność okazała nam wiele serca, matka zdołała kogoś namówić, ażeby udał się do Kielc na przespiegi. To oczywiście: należało sprawdzić, co dzieje się z naszym domem – stanowił on przecież część składową obszaru związanego z koszarami.

Wyniki rekonesansu okazały się pomyślne: dom był nietknięty, część sąsiadów powróciła już na dawne miejsca i nic nie wskazywało na to, żeby w najbliższym czasie niemieckie władze wojskowe zamierzały stąd kogokolwiek wysiedlać.

Znalazłszy się tedy znowu na dawnych śmieciach, mogliśmy dokonać bilansu. Więc – po pierwsze – Kielce w zasadzie były nietknięte i gdyby nie resztki owych rowów przeciwlotniczych, w tym także i tego, który sam pomagałem kopać, nic nie wskazywało na to, że w ogóle toczyła się tu wojna.

Dalej – liczna rodzina mojej matki, babcia, kochane ciotki i wujkowie, wyszła z tych zawirowań bez szwanku. Także i dziadek (ojciec ojca) nie ucierpiał na swoim małym gospodarstwie pod Suchedniowem.

Prawie w komplecie odliczyli się też i moi dawni koledzy, i ci ze szkoły, i ci z podwórka, z wyjątkiem Wojtka Stankiewicza, o którego losach jego dziadek nic nam jeszcze nie umiał powiedzieć. Tyle że szkoła, do której chodziłem, przestała istnieć: w dawnych naszych klasach miało teraz swoją siedzibę Gestapo. W koszarach III batalionu nadal znajdowali się polscy żołnierze, tyle że już jako „pensjonariusze” stalagu, czyli obozu dla jeńców wojennych.

Nic natomiast nie wiedzieliśmy o naszym ojcu, nie mieliśmy też wyobrażenia o tym, jak dalek będzie można żyć.

Jedną tylko ponieśliśmy stratę: diabli wzięli nam Polskę. I to na dobrych parę lat.

* * *

Pewnego poranka na przełomie września i października, matka zwróciła uwagę na dziwnie zachowującego się mężczyznę, snującego się wokół ogrodu naszego ogródka, jakby czegoś szukał, a wyglądał jak ostatni obszarpaniec.

Nagle krzyknęła – Ojciec!! – i rzuciła się do drzwi.

Nigdy nie był człowiekiem gadatliwym, a mnie nie starczyło wyobraźni, ażeby dowiedzieć się czegoś o jego wyprawie – dowiedzieć się i zapamiętać!

Wiem tyle, że ruszywszy spod Daleszyc napotkał po drodze kilkunastu podobnych mu wędrowców i goniąc za wojskiem, w którym chcieli się znaleźć, dotarli w okolice Przemyśla. Choć jednak nie żalowali nóg, nie zdołali osiągnąć celu.

Jedno tylko wydarzenie z całej tej eskapady ojciec opowiadał nam kilkakrotnie, mianowicie przeprawę w bród przez San, kiedy – rozebrawszy się do rosołu, niosąc nad głowami odzież, buty i bieliznę – przedostali się na drugi brzeg. A chyba i dlatego tak duże to na nim wywarło wrażenie, ponieważ nie umiał pływać. Bo i w końcu gdzie się miał tego nauczyć? W Silnicy w najgłębszych miejscach, woda sięgała najwyżej do kolan.

Jako niepoprawny lojalista natychmiast zgłosił się zresztą do stalagu, nie gościł tam jednak długo, wkrótce bowiem okupanci doszli do wniosku, że wystarczy zaopiekować się kadrą oficerską, nie ma zaś sensu użerać się z tysiącami szeregowych darmozjadów. Rozpuścili ich więc do domów.

Znaleźliśmy się więc znowu razem i mogliśmy rozpocząć nowe życie, tym razem już w Generalnej Guberni, dystrykt Radom, Kreis –Kielce.

W kraju Helotów zostaję Chęciniakiem

Początki okupacji przebiegały w Kielcach względnie spokojnie. Nie słyszało się o aresztowaniach, nikt nie wiedział co to jest łapanka, na słupach ogłoszeniowych nie pojawiały się jeszcze „Bekannt-machungi” o dokonanych właśnie egzekucjach, a niemieckie patrole na ulicach nie budziły jeszcze ogólnej paniki.

Jedyną bezsporną szykaną stał się oficjalnie ogłoszony kurs walutowy: za każdą niemiecką markę należało płacić dwa złote. Jeżeli uwzględnić rzeczywistą wartość nabywczą marki w III Rzeszy było to ewidentne złodziejstwo stawiające w komfortowej sytuacji coraz liczniej ściągających tu z Reichu funkcjonariuszy.

Rzecz jasna nikt wówczas nie mógł przypuszczać, że niespełna pięć lat później sytuacja się odwróci – na terenach Ziemi Odzyskanych podyktujemy „tubylcom” w ramach rewanżu, odwrotne proporcje: 1 złoty równy 2 marki, co, mówiąc szczerze, także było przedsięwzięciem rabunkowym.

Nic zatem nie zapowiadało jeszcze atrakcji, jakich wkrótce miała nam dostarczyć Generalna Gubernia. Ba, zdarzył się nawet – jedyny znany mi z autopsji przypadek, kiedy to interwencja niemieckich sił porządkowych uzyskała pełną aprobatę sporej grupy naszych rodaków.

Mianowicie – a było to albo jeszcze we wrześniu albo w początkach października – sąsiedzi donieśli nam, że w piekarni, obok placu Wolności, będą rozdawać chleb. Matka wysłała mnie tam natychmiast. Handel żywnością jeszcze się nie zregenerował, a pieczywo należało do artykułów, łagodnie mówiąc deficytowych.

Chleb najwyraźniej pochodził z magazynów wojskowych i trudno zgadnąć, czy Niemcy chcieli się pozbyć jego nadwyżek, bo zawadzały, czy też chodziło nawet o swego rodzaju akt dobrej woli, zwłaszcza, że rozdawano go za darmo, po bochenku na głowę.

Kiedy dotarłem na miejsce akcji, na długie ale wąskie podwórko, na którego końcu w kantorku nasi piekarze mieli nam wręczać tę darowiznę, zastałem tasiemcową kolejkę, złożoną zresztą głównie z ludzi starszych oraz z dzieci. Znalazłem się w niej na dosyć odległej pozycji, przecież ze sporymi szansami na sukces.

No, ale nasi drodzy rodacy szybko zademonstrowali, na co ich stać. Uformowała się, licząca kilkanaście osób grupa szturmowa, złożona z silnych i pełnych determinacji mężczyzn, która natarła na czoło ogonka, brutalnie wypychając słabszych. I nie chodziło już tylko o to, żeby dorwać się do tego luksusu przed innymi, ale i o to, ażeby zawłaszczyć go jak najwięcej, ile się da. Nie pomagały prośby, perswazje i awantury. Napór grupy nasilał się z minuty na minutę.

I wtedy właśnie z bramy, od strony ulicy, wynurzyli się dwaj niemieccy policjanci. Wyciągnęli twarde, gumowe pały i zaczęli nimi lać, gdzie popadło.

W kolejce natychmiast zapanował wzorowy „Ordnung”, dzięki czemu i ja zdołałem „załapać się” na swój bochenek.

Tyle że na placu boju, nieprzytomny, leżał siwowłosy staruszek, zapewne ze wstrząsem mózgu.

Do Szkoły Ćwiczeń wrócić już nie mogłem, ponieważ w mojej dawnej „budzie” przy ul. Leśnej, zainstalowało się gestapo.

Trzeba było zapisać się do „normalnego” powszechniaka. Ulokowano go w pośpiesznie na ten cel przygotowanym obiekcie, a że klasy były tam i ciasne i przepełnione ponad miarę – trudno było w nich

utrzymać elementarną dyscyplinę, toteż najlepiej stamtąd zapamiętałem nieustanny gwar podczas każdej lekcji.

Nauczyciele w rozmaity sposób próbowali radzić sobie z tym zjawiskiem. Jednego z nich znałem już wcześniej: prof. Żuk w Ćwiczeniówce uczył nas śpiewu, teraz – wykładał język polski. Na ogół był uosobieniem wszelkiej życzliwości, przecież stosował dość niecodzienną metodę egzekwowania posłuchu. Oto przed rozpoczęciem lekcji „pożyczał” piórnik, możliwie najbardziej solidny, od któregoś z uczniów siedzących najbliżej, kładł przed sobą ów piórnik na katedrze, a kiedy w jakimś zakątku klasy pogaduszki stawały się stanowczo zbyt głośne, rzucał nim w tamtym kierunku i to z godną uznania celnością, po czym natychmiast organizował sobie nową amunicję.

Biedny profesor Żuk nie doczekał końca wojny. Zamęczono go w Oświęcimiu.

Inny nasz belfer, nie pamiętam ani jego nazwiska, ani przedmiotu, którego usiłował nas nauczyć, stosował metodę psychologicznej presji na słuchaczy. Kiedy w klasie narastał szum, wstawał z krzesła, podchodził do tablicy i grzmiał na nas tekstem następującym:

– A wy, ha, co sobie myślicie?, ha, że ja to kto jestem?, ha, Ja na Węgrzech był! Ja bawoli masłu jadł, ha!

Milkneliśmy wtedy natychmiast przytłoczeni świadomością, jaki to nadzwyczajny stoi przed nami światowiec.

Nie znam jego dalszych losów, sądzę, iż na pewno jakoś sobie podczas okupacji poradził.

W programie zaś znalazł się przedmiot, z którym nikt z nas nie miał wcześniej do czynienia – nauka niemieckiego. Rzecz jasna zaczynaliśmy od słówek i zwrotów najprostszych, ale i to nie odbywało się bez pewnych trudności. Długo – na przykład – nie byliśmy w stanie pojąć, czemu to mówić trzeba np. „ja piszę z ołówkiem”, „ja jestem jedenaście lat stary” albo „ile jest zegarek”.

Za to później już pozaszkolna egzystencja zmusiła nas do szybkiego zrozumienia tak podstawowych zwrotów jak „streng verboten”, „es wird bestraft”, „Nur für Deutsche”, „Die polnische Schwein” albo i „erschossen”.

* * *

W tym też czasie do mieszkania dokwaterowano nam sublokatora – musieliśmy mu oddać najlepszy pokój. Sublokator był feldfeblem, nazywał się Nowak, a mówił bezbłędnie po polsku, ponieważ – jak się okazało – pochodził ze Śląska. Uważał się jednak za Niemca, co nie mogło specjalnie dziwić w okresie, kiedy Trzeciej Rzeszy wiodło się coraz lepiej.

Skądinąd zachowywał się grzecznie, w pokoju utrzymywał porządek i w ogóle starał się nie przysparzać nam kłopotów. Najwyżej – co pewien czas – z wyraźnym poczuciem wyższości ironizował na temat polskiego zacofania cywilizacyjnego. No, bo proszę, taki dom a nie ma w nim łazienki ani we, zaś (akurat zepsuł się wodociąg) wodę trzeba donosić do domu wiadrami ze wspólnej studni znajdującej się pośrodku osiedlowego dziedzińca.

Niemców ciągle przybywało. Pewnego dnia, bodaj w październiku, przy ładnej pogodzie, wieczorem urządzili sobie miting w okolicach dawnego stadionu WKS, parę kilometrów od nas. Przy sprzyjającym temu niezbyt silnym wietrze mogliśmy się delektować śpiewanym chóralnie, przez niemały już tłum, dumnie brzmiącym tekstem:

Deutschland, Deutschland über alles,
über alles in der Welt

Przyznam, mimo upływu wielu lat, od kiedy temu utworowi przywrócono godność hymnu narodowego naszych zachodnich sąsiadów, wysłuchując go nie mogę się pozbyć nie najlepszych reminiscencji.

* * *

Ojcu wprawdzie udało się znaleźć pracę, tym razem w sądzie cywilnym, jednak nasza sytuacja materialna pogorszyła się wyraźnie: wynagrodzenie, jakie tam pobierał, niewiele było warte. Co więcej, chyba nie najlepiej układały mu się stosunki z nowymi zwierzchnikami. Być może pewien wpływ na to miała niezbyt dla nich wygodna jego przeszłość podoficerska. Spodziewać się było można, że nowi użytkownicy koszar pewnego dnia nas z tej postoficerskiej kolonii wyrzucą.

Kiedy więc zasugerowano ojcu, by przeniósł się do Chęcina, gdzie właśnie w Sądzie Grodzkim wakoowało stanowisko zastępcy kierownika sekretariatu, to jest – de facto – zwykłego kancelisty, nie było się nad czym zastanawiać. Spakowaliśmy manatki i wypełnionymi po brzegi chłopskimi saniami ruszyliśmy w drogę.

Zima zaś 1939/40 była nadzwyczaj efektowna. Zapewne niemało musiały napracować się śnieżne pługi, żeby szosę wiodącą w kierunku Krakowa doprowadzić do stanu używalności. Jechaliśmy tedy jakby głębokim wąwozem wśród ponad dwumetrowej wysokości hałd śniegu, iskrzącego się pięknie w słońcu. A już na kilka dobrych kilometrów przed celem podróży ukazały się nam niezwykle ma-

lownicze, górujące nad okolicą ruiny zamku Królowej Bony. A że i samo miasteczko wydawało nam się nader sympatyczne, w dobrych nastrojach zaczęliśmy nowy rozdział w życiu rodziny.

* * *

Albo ojciec nie miał szczęśliwej ręki w doborze mieszkań, albo faktycznie nie było szansy znalezienia tam innego lokum. To, do którego się wprowadziliśmy, miało bowiem jedną tylko zaletę: dom stał po południowej stronie Rynku i do Magistratu, w którym mieścił się Sąd, dzieliło go kilkadziesiąt kroków.

Nowa siedziba znajdowała się na pierwszym piętrze a składała z dwóch izb, z tym, że jedna z nich była zarazem i kuchnią i pokojem.

Wkrótce nasza tak dogodnie położona kamienica miała się okazać kompletną rudera. Początkowo bawiło nas nawet wielce, że jeśli metalową kulkę wielkości piłki pingpongowej postawiło się pod oknem wychodzącym na Rynek, dość żwawo toczyła się przez całe mieszkanie, przeskakując nawet próg, ażeby zatrzymać się dopiero pod oknem wychodzącym na obskurne skądinąd podwórze. Właścicielem zaś tego curiosum był starszy człowiek, Żyd zresztą, czego bynajmniej nie zamierzał ukrywać. Chodził bowiem w przepisowym, sięgającym ziemi chałacie i w ciemnych pantoflach, nosił skarpetki, które zapewne w czasach swojej świetności były białe, miał stosowne, ciemne, kręcone włosy, bujną brodę i okazałe pejsy, na głowie zaś nosił nieodzowną jarmułkę. Język polski w jego wykonaniu wydawał się być naśladowaniem najlepszych szmoncesów. Poruszał się małymi krokami, rytmicznie przerzucając ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

Początkowo nasze z nim współżycie układało się dosyć zgodnie, alści niebawem miało dojść do awarii. Silny przechył domu nie był bowiem efektem oryginalnej myśli jego dawnych budowniczych, lecz rezultatem zwyczajnego partactwa: źle położone fundamenty nierównomiernie zapadały się w grunt, co wreszcie w skutkach doprowadziło do uszkodzenia kanałów kominowych. No i pewnego dnia nasza kuchnia i piece w pokojach najzwyczajniej wysiadły, albowiem nie było już w nich tak zwanego cugu.

Do dramatycznych komplikacji doszło już w czasie następnej zimy – też była ostra. Już wcześniej jeden z miejscowych fachowców, przywykły widać do podobnych usterek, obok nieużytecznej kuchni zbudował nam „kozę” – konstrukcję z cegieł przykrytą normalną kuchenną blachą z fajerkami. Szczęśliwie, prawie tuż pod sufitem, udało mu się znaleźć miejsce, gdzie był jeszcze jakiś tam cug, tam więc ulokował koniec grubej, blaszanej, opatrzonej kilkoma kolankami rury łączącej tę naszą „kozę” z ocalałymi jeszcze szczątkami przewodu kominowego. Dzięki temu udoskonaleniu, kiedy ogień palił się w nowej kuchence, a blacha i rura rozgrzane były prawie do białości, w mieszkaniu udawało się utrzymywać dodatnią temperaturę, kiedy jednak kładliśmy się spać i ogień w kuchence wygasiał, zaczynały się „schody”.

Lokowaliśmy się więc wszyscy, sześć osób w jednym łóżku, przemyślnie poukładani zaopatrzywszy się w pozawijane w szmaty litrowe butelki gorącej wody. Jednak w miarę upływu czasu butelki najzwyczajniej w świecie stygły. Wystarczyło zaś trochę płynu postawić w wiaderku pod oknem, by rano pływały w nim dość spore kawałki lodu.

Niedogodność ta nieodmiennie była tematem awantur, jakie nasza matka urządzała gospodarzowi, kiedy ten – ze skrupulatnością poborca podatkowego – co miesiąc przychodził po komorne. Matka stanowczo domagała się remontu – on reagował na to dosyć bezładną gestykulacją, po czym – odebrawszy należne mu pieniądze – oddalał się jak umiał najszybciej i wszystko pozostawiało bez zmian.

W istocie był to biedny, stary człowiek, dla którego skromne przychody z wynajmu dwóch mieszkań (drugie było na parterze) stanowiły jedyne źródło utrzymania i to na poziomie zwyczajnej nędzy. Sam z rodziną gnieździł się w obskurnie wyglądającej klitce na końcu podwórza.

* * *

Pierwsze nasze kontakty z rdzennymi chęciniakami nie były nazbyt obiecujące. Odnosili się do nas nieufnie, dochodziło nawet do drobnych i mniej drobnych incydentów.

Zaczęło się to poprawiać w miarę upływu czasu – im dłużej wraz z nimi chodziliśmy do tej samej szkoły. A, że nasze położenie materialne było kiepskie, czego w takim miasteczku ukryć się nie da, przyspieszało to proces wzajemnego zbliżania. Wreszcie uznali nas za swoich i poprawne współżycie zaczęło się nawet przekształcać w koleżeństwo.

Getto

Początki okupacji przebiegały w Chęcinach dosyć bezkonfliktowo i gdyby nie postępująca powszechna degradacja poziomu materialnej egzystencji, odnieść można było wrażenie, że w istocie na zewnątrz nic się ważnego nie wydarzyło.

W miasteczku nie stacjonowały jeszcze niemieckie formacje ani nie było niemieckich funkcjonariuszy cywilnych. Jedyne zaś przedstawicielstwo tak zwanego aparatu przymusu – dwaj granatowi policjanci – nie przejawiali zbędnej aktywności. Obaj zresztą uchodzili za tak zwanych ludzi porządkowych, cieszyli się dobrą opinią wśród ludności, a niebawem miało się jeszcze okazać, że – roztropnie – związali się z Armią Krajową.

Toteż dopiero spędzenie całej żydowskiej ludności do getta dobitnie unaocznilo nam, w jakich to czasach żyjemy.

Akurat w dniu, kiedy to nastąpiło, byłem u rodziny w Kielcach, toteż sam nie widziałem przebiegu akcji, przecież – znając inne podobne przypadki – bez trudu mogłem tworzyć bieg wydarzeń. Otóż rano zjechała tu z Kielc duża ilość umundurowanych Niemców – ci przystąpili energicznie do przesiedlania Żydów do wytypowanej dla tego celu części miasteczka. Zapewne nie uprzedzono przesiedlanych o tym, co mianowicie ich czeka, ani też – kiedy zaczęło się już rugowanie – nie pozostawiono im wystarczająco dużo czasu na spakowanie choćby najniezbędniejszych przedmiotów. Musiały zaś temu towarzyszyć tak dobrze nam znane z innych podobnych okazji nawoływania typu: „raus, raus!, weg!, schneller!, schneller!”

Na getto wybrano część miasteczka stosunkowo niewielką i najbardziej chyba zaniedbaną.

Chęcińskie getto mogło wydawać się tworem dosyć osobliwym – mianowicie nikt tego właściwie nie pilnował. Niemcy po wykonaniu swej misji wrócili do Kielc a dwaj nasi „granatowi” nie mieli najmniejszego zamiaru do tego się wtrącać.

Wjazd do getta od strony Rynku zagrodzony był wprawdzie szlabanem, na jego straży stali żydowskie policjanci w kanarkowej barwy mundurach – przecież było to zabezpieczenie symboliczne.

Na przykład mnie samego matka prawie codziennie wysyłała tam po zakupy, musiałem przeto, i przy wejściu i przy wyjściu, przechodzić koło wartowników, ci udawali, że niczego nie widzą.

Najbardziej zaskakujące może się wydawać, że chodziłem po świeże warzywa, ziemniaki, nabiał, nawet po mąkę i kaszę, a więc po produkty, których tam nie wytwarzano. Zatem wedle wszelkiego prawdopodobieństwa – wczesnym rankiem od wschodniej strony getta musiały tam zajeżdżać chłopskie furmanki z towarem przeznaczonym do sprzedaży. Wątpię zaś, aby wynikało to ze współczucia lub też było aktem filantropii, choć mogły się zdarzać i takie przypadki. Najzwyczajniej w świecie – widać – nadal funkcjonowały tu utrwalone wieloletnią, czy też nawet wielowiekową, tradycją przyzwyczajenia: chłop żywność produkował, a Żyd zajmował się handlem.

Teoretycznie zatem przyjąć by można, że wszyscy mieszkańcy getta, gdyby tylko chcieli, mogli je bez przeszkód opuścić.

Pozostawał tylko dylemat: a dokąd właściwie mają iść?

* * *

Los chciał, że nie oglądałem przebiegu „oczyszczania” getta. Miałem za to możliwość, podczas dorywczej pracy w punkcie skupu kontyngentowych ziemniaków we wsi Wolica być świadkiem sceny, której uczestnikami byli lokatorzy podobnego skupiska z jakiejś innej miejscowości. Pewnego dnia ujrzeliśmy dwie kolumny Żydów, po kilkadziesiąt osób w każdej, od starców do małych dzieci, w sposób zdyscyplinowany, czwórkami maszerujących pełną drogą w stronę bocznicy kolejowej, gdzie czekały już na nich wagony.

Eskortowali ich zaś czterej, uzbrojeni w zwyczajne karabiny, żołnierze „Wyzwoleńczej Armii Ukrainy” generała Własowa. Niemcy często wysługiwali się nimi w działaniach tego typu nie chcąc sami brudzić sobie rąk.

Własowcy, niezbyt pewnie trzymający się na nogach, popędzali konwój okrzykami. Kiedy zaś stara kobieta z drugiej kolumny upadła, najwidoczniej nie była w stanie już dalej iść, jeden z żołnierzy kolbą karabinu zmusił ją do powstania, gdy zaś upadła ponownie – zarepetował broń i strzelił.

Trup staruszki samotnie pozostał na szlaku, a obie kolumny, jakby pogrążone w głębokiej hipnozie, nie łamiąc szyków nadal ciągnęły przed siebie. Nikt nawet się za nią nie obejrzał.

* * *

Jest to dla mnie jedno ze wspomnień najbardziej bolesnych.

To oczywiście, że temu, co działo się w związku z holocaustem, jako wtedy niespełna czternastoletni wyrostek w najmniejszym stopniu nie mogłem zapobiec, nie czuję się przeto winien grzechu zaniechania. Jeżeli mimo to wspominam ten okres ze wstydem, to głównie z tego powodu, że wówczas ani nie umiałem docenić rozmiarów tej gigantycznej tragedii, ani choćby należycie współczuć jej ofiarom. Co więcej – skłonny byłem nawet dawać posłuch nielicznym wprawdzie, przecież otwarcie wypowiedzanym poglądom typu: „A może to i dobrze, że ich stąd zabrali?”

Być może pewne, mizerne wprawdzie usprawiedliwienie może stanowić fakt, iż w moim otoczeniu mówiło się wprawdzie, że Żydzi wywożeni są do obozów, nikt przecież nie wspominał, a może i nie wiedział, że idą tam po śmierć w komorach gazowych.

* * *

Nie bylibyśmy normalnymi wyrostkami, gdybyśmy zrezygnowali ze „zwiedzenia” opustoszałego już chęcińskiego getta. A ponieważ działo się to już w kilka dni po wypędzeniu jego dotychczasowych lokatorów, celem naszej ekspedycji nie mogło być „poszukiwanie skarbów”. Było przecież aż nadto oczywiste, że jeśli nawet po tych nieszczęśliwych pozostały przedmioty posiadające jakąś wartość, zapobiegliwi dorośli chrześcijanie zadbali już o to, ażeby nic, co mogło być użyteczne, nie niszczało pozabawione opieki.

Co prawda i my także oglądaliśmy się za jakimiś drobiazgami, które możnaby było zabrać stąd na pamiątkę, jednak głównym motywem tego zwiedzania była zwyczajna ciekawość.

To, co ujrzałem, było porażające. Brud, ciasnota, stare graty używane jako meble a nadające się wyłącznie na podpałkę, zniszczone, pordzewiałe naczynia, z których zapewne musiano tu korzystać etc.

Stało się oczywiście: ci, którzy stąd odeszli, bytowali na poziomie niewiele przewyższającym standardy chyba z epoki jaskiniowej.

Oczywiście nie znaleźliśmy ani jednego drobiazgu, zasługującego na to, aby go sobie zatrzymać. Jedynym odczuwalnym efektem naszego tu pobytu okazało się mrowie wygłodzonych pcheł, które nas zewsząd opadły i od których później nie łatwo się było uwolnić.

Smak głodu

Podczas dwudziestoletniej służby, czy też pracy urzędniczej w wojsku, ojciec przywykł do tego, że pobory, jakie otrzymuje za rzetelnie wykonywaną pracę, wystarczają do utrzymania licznej przecież rodziny. Teraz z miesiąca na miesiąc stawało się bardziej oczywiste, że choć pracuje z równą starannością, wynagrodzenie w żaden sposób nie przystaje do potrzeb, nawet zredukowanych do najniższego z możliwych poziomów.

W nowych okolicznościach okazał się bezradny. Nawet nie próbował opanować umiejętności kombinowania, jaką w tym czasie, z twardej konieczności szybko przyswoiła sobie niemała liczba naszych rodaków.

Toteż coraz częściej widywaliśmy naszą matkę zapłakaną nad garnkami, do których – jak mawiała – nie ma co wstawić.

W miastach i miasteczkach coraz dotkliwiej brakowało i żywności i pieniędzy. Początkowo, nim na dobre zaczęły ich gnębić kontyngenty, korzystali na tym chłopcy – ich położenie materialne – na pewien czas – poprawiło się. Oni przecież posiadali to, co najniezbędniejsze dla życia. Wędrowały zatem z miasta do wsi dobra materialne oddawane w zamian za ziemniaki, mąkę, kaszę, kapustę itp.

Również i z naszego mieszkania po kolei znikwały dywany, makaty, platerki, mienie wprawdzie niebogie, ale znajdujące jeszcze chętnych nabywców. Dość szybko jednak nasze skromne zasoby całkowicie się wyczerpały i znaleźliśmy się w sytuacji niemal bez wyjścia.

Nie umiem powiedzieć dlaczego nawet w najbardziej dramatycznych momentach, i we Wrześniu i podczas okupacji, właściwie nigdy nie odczuwałem strachu, choć nieraz bywały ku temu uzasadnione powody. Natomiast dobrze na własnej skórze poznałem, czym jest głód.

My, dzieciarnia, próbowaliśmy różnych sposobów pomagania i rodzicom i sobie. Na przykład kiedy niedaleko nas uruchomiono niewielką zlewnię mleka, chodziłem tam, jako wolontariusz, obsługiwać centryfugę. Dzięki łaskawości szefa tej placówki mogłem w związku z tym przynosić do domu trochę odciąganego mleka, a nawet – niekiedy – autentycznej śmietany.

Większe pole dla naszej aktywności otwierało się późną wiosną i – z przerwami – trwało do jesieni. Chodziliśmy całą czwórką, do lasu, najpierw na poziomki, później – na czarne jagody. Ponieważ teren mieliśmy dobrze rozpoznany, wracaliśmy zwykle ze sporym wiaderkiem owoców. Dzięki temu np. w sezonie jagodowym jedliśmy – na zmianę – kluski z jagodami, pierogi z jagodami, zupę jagodową z makaronem czy nawet po prostu jagody z mlekiem.

Kolejne wyprawy odbywaliśmy już na grzyby. Zbieraliśmy ich sporo, a za bezsporny sukces uznać wolno fakt, żeśmy się nimi nie otruli. Od tego czasu las budzi we mnie szczególną sympatię jako miejsce przyjazne człowiekowi.

Najbardziej spektakularne ekspedycje związane były jednak z tak zwanymi kioskami. Otóż po ścięciu zboża i ustawieniu go w snopy, na ściernisku zawsze pozostają jakieś resztki, których nawet najbardziej skrzętny gospodarz zgrabić nie jest w stanie. Łaziliśmy więc godzinami po polach wypatrując każdego kłosa i zazwyczaj udawało nam się zebrać kilka kilogramów tego cennego surowca. Teraz, oczywiście, łup należało poddać obróbce. Najpierw były więc „omłoty”, czyli walenie umieszczonych w lnianym woreczku kłosów tłuczkiem do kartofli. Z kolei uzysk z omłotu nosiliśmy do chłopca,

który dysponował własnymi żarnami. Wyprodukowana tym sposobem mąka, zazwyczaj żytnia, nie była wprawdzie produktem najwyższej jakości – nawet najbardziej praśny chleb upiec z niej było trudno. Matka więc zagniała z niej placki, tak zwane podpłomyki, które piekło się na rozpalonej blasze kuchennej.

Traktując rzecz w kategoriach modnych tendencji w dziedzinie zdrowej żywności, miała przecież ta nasza mąka także i bezsporne zalety: zachowywały się w niej tak dziś cenione przez znawców mikroelementy.

Szukaliśmy różnych sposobów zarobkowania. Na przykład z tytoniu i gilz papierosowych wytwarzaliśmy ustnikowe papierosy domowej roboty. Sprzedawałem je później na jarmarku. Produkowanie ich wymagało już pewnej wprawy. Główny zaś problem polegał na tym, ażeby – powszechnie wtedy stosowanym aparacikiem – tak nadziewać tytoniem gilzy, ażeby papierosy były dostatecznie twarde, a sama bibułka – nie pękała.

Niezłą passę miwaliśmy też przed świętami Bożego Narodzenia. Wtedy z kolorowych papierków lepiłiśmy różne świecidelka, szczególnym zaś wzięciem cieszyły się – pomysłu naszej matki – efektowne łańcuchy wycinane z bibułki. Była to zresztą praca wymagająca benedyktyńskiej cierpliwości.

Rzecz jasna dochody z podobnej przedsiębiorczości były niewielkie, liczyła się jednak każda złotówka.

Trafiały mi się też i inne chałtury, zaś o dwóch z nich chyba warto opowiedzieć.

Zacznę od tego, że mimo wszystkich trudności korzystałem z każdej okazji, ażeby się czegoś tam nauczyć, m.in. wpadł mi w ręce podręcznik przeznaczony dla średnich szkół handlowych traktujący o sposobach prowadzenia księgowości. Obkułem go prawie na pamięć, choć jak miało się okazać, wiele z zawartych w niej mądrości nigdy do niczego nie było mi przydatnych.

Pewnego dnia właściciel jednego z największych w miasteczku sklepów spożywczych, nie wiem za czyją poradą, zlecił mi uporządkowanie ksiąg handlowych swojego przedsiębiorstwa. A zaległości sięgały dobrych paru miesięcy. Zapewne pan Jasicki dobrze sobie radził z prowadzeniem interesów, jednak pisanie czegokolwiek nastroczało mu wyraźne trudności. Wykonałem zadanie uzyskując jego aprobatę, toteż podobną pracę zlecił mi jeszcze parokrotnie. Znałem dobrze jego sklep, znajdował się bowiem na Rynku, niedaleko naszego mieszkania. Ruch zawsze był tam duży, a i towaru nie brakowało. Powinno mnie było zatem zdziwić, że według faktur, jakie mi dostarczał do zaksięgowania, obroty tej placówki były zadziwiająco niskie. Po pewnym czasie zrozumiałem, że mój zleceniodawca wymaga ode mnie wpisywania do ksiąg tylko tych zakupów, których dokonywał w hurtowniach, więc były już gdzieś odnotowane. Pomijał zaś wszystko, co nabywał bezpośrednio od chłopów lub innymi, sobie tylko znanymi sposobami, a co stanowiło podstawową masę sprzedawanych w jego sklepie dóbr. Zorientowałem się też, że owe księgi, które dla niego tak skrupulatnie wypełniałem, niezbędne mu są dla celów podatkowych, a – oczywiście – im obrót mniejszy, tym i podatek mniej dokuczliwy.

Prawdopodobnie dlatego zlecił to zadanie trzynastoletniemu smarkaczowi, ponieważ słusznie przypuszczał, że ten nie będzie mu zadawał głupich pytań.

Próbowałem nawet udzielać korepetycji z katechizmu. Ale tutaj poniosłem pierwszą, dotkliwą porażkę pedagogiczną.

Na początek miałem nauczyć niezbyt lotnego młodego człowieka Dziesięciu Bożych Przykazań, ale to zadanie wyraźnie przerosło moje dydaktyczne umiejętności. A załamaliśmy się już na preambule, która wówczas brzmiała tak: „Jam jest Pan Bóg twój, którym cię wywiódł z ziemi egipskiej, z domu niewoli...”

Mój podopieczny w żaden sposób nie był w stanie poprawnie wyrecytować tego tekstu. Z nie dającym się pokonać uporem powtarzał: „Jam jest Pan Bóg twój, którym cię wywłókl...”

Próbowałem różnych sposobów, także przerabiania całej kwestii po kawałku. Mówiłem mu: powtarzaj za mną po kolei:

- Jam jest.
- Jam jest.
- Pan Bóg twój.
- Pan Bóg twój.
- Którym cię wywiódł.
- Którym cię wywiódł.
- W porządku. Teraz powtórz całość. – On na to:
- Jam jest Pan Bóg twój, którym cię wywłókl...

I nie zdołaliśmy przebrnąć przez owo wywlekanie.

To doświadczenie powinno mi było uświadomić jak niewdzięcznym zajęciem jest uczenie cudzych dzieci. Niestety po wielu latach znowu dałem się nabrać na „uprawianie” pedagogiki.

* * *

Pierwszym poważniejszym zadaniem zarobkowym była dla mnie sezonowa praca w punkcie skupu kontyngentów ziemniaczanych we wsi Wolica. Drogę do niej, ponad 7 kilometrów polnymi drogami, przebywałem dwukrotnie każdego dnia: wcześniej rano i po zmroku. Wieczorami często wychodził po mnie ojciec.

Byłem tam czymś w rodzaju pomocnika wagowego. Operacja polegała na tym, że najpierw ważyło się chłopską furmankę wypełnioną workami ziemniaków (brutto), później – po zrzuceniu tych worków na placu, obok którego ziemniaki miały być kopcowane, ważyło się pustą już furmankę (tara). Teraz po standardowym odjęciu tary od wagi brutto wyliczało się, ile dany klient dostarczył nam produktu.

Kierownikiem naszej kilkusobowej ekipy był facet zapewne przez grzeczność nazywany magistrzem, z całą pewnością człowiek bystry i obrotny.

Podczas ważenia obie strony próbowały się wzajemnie przechytrzyć. Moim zadaniem było na przykład dopilnować, ażeby przy pierwszym podejściu do wagi chłop nie ustawiał na niej tylnych nóg swojego konia. Musiałem także uważać na manipulowanie łańcuchami. Kiedy bowiem ważono brutto, wóz i ziemniaki razem, często ów wóz dociążany był sporą ilością ciężkich, choć zbędnych łańcuchów. Oczywiście po wyładowaniu ziemniaków woźnica próbował się pozbyć zbędnego już balastu, utrzymując, że i uprzednio nie było tych łańcuchów na furmance. Te – w dobrej wierze przeprowadzane – moje utarczki z każdym bez mała klientem odwracały jego uwagę od żonglerki uprawianej w tym czasie przez pana magistrza z odważnikami.

Rezultat zaś był taki, że nawet mnie, pionkowi w tej imprezie, po zakończeniu akcji dostarczono do domu dobrych kilka metrów ziemniaków, co starczyło nam na całą zimę. Ile nakradli moi przełożeni – nie wiem.

W takich to okolicznościach zacząłem wchodzić w skomplikowany świat ludzi dorosłych.

* * *

Nim opowiem o dalszych etapach mojej zawodowej kariery – słów jeszcze parę o drewnie.

Węgiel w tym czasie był rarytasem, a niewielkie, z trudem pozyskane jego ilości, chomikowało się na zimę do opalania pieców w pokojach. Na co dzień w kuchni paliło się drewnem. Rzecz jasna nie stać nas było na jego zakup w wystarczających ilościach. Musieliśmy je kraść.

Tedy co kilka dni ojciec, kiedy zaczynało już szarzeć, wędrował – dobrych parę kilometrów – do lasu, z sęgu pni przygotowywanych do wywózki wybierał jedną „łupkę” i już po zmroku wracał z nią do domu. Nazajutrz przystępowaliśmy do jej obróbki, tj. obaj ciężliśmy ją piłą na kawałki dające się już porąbać siekierą.

Ja sam podobną trasę wykonywałem po chrust, czyli opadłe z drzew gałęzie i gałązki. Ale i to było zabronione. Kiedyś nawet przydybał mnie gajowy i zmusił do porzucenia ładunku. Oczywiście cierpliwie odczekałem w krzakach aż sobie pójdzie i powróciłem po swoje.

Czy należało się z tego spowiadać?

* * *

Skończyłem już właśnie 14 lat i powinienem był zacząć zarabiać na siebie i na resztę rodziny. Na początek zostałem ekspedientem w sklepie spożywczym „Społem” w Kielcach. Traf chciał, że i tu także właśnie dokonywano skupu: chłopci dostarczali nam jajka, w zamian za co mogli nabyć, w określonych ilościach, wódkę i cukier. Interes cieszył się ogromnym wzięciem toteż codziennie kłębił się u nas tłum interesantów. Ja zaś – przy okazji – odbierałem kolejną lekcję nieodzownych w handlu umiejętności.

Najmniej problemów dostarczała wódka. Nie wiem, na czym to polegało – nawet przy najuczciwszym rozlewaniu litrowej butelki na ćwiartki pozostawało w niej blisko 100 gram nadwyżki. To więc można było zawłaszczać uczciwie.

Kombinacje zaczynały się przy ważeniu jaj i cukru. Należało umiejętnie posługiwać się wagą, na przykład niezauważalnie dla klienta naciskać na nią w odpowiednim miejscu i w odpowiedni sposób. W przypadku cukru trick polegał na tym, żeby – w chwili sypania cukru do torebki, gdy szale wagi zaczynały się już równoważyć – zręcznym ruchem uszczknąć dobrych kilka dekagramów tego dobra równocześnie zgrabnie naciskając szuflę na torbę dla upozorowania, iż towar został odważony rzetelnie.

Wskutek takich oto doświadczeń po kilku miesiącach tej skądinąd dochodowej pracy zrozumiałem, iż działalność w handlu detalicznym wyraźnie mi nie leży.

Szachy i polityka

Gry w szachy nauczyłem się od ojca. Wprawdzie, mówiąc najzupełniej szczerze, jego umiejętności w tej dziedzinie wysokie nie były, starczyło ich jednak, ażeby wprowadzić mnie w podstawowe zasady

gry. Ponieważ mój staruszek lubił tę formę rozrywki, przy szachownicy spędziliśmy wiele okupacyjnych wieczorów.

Początkowo dostawałem wysokie fory. Z biegiem czasu szanse zaczęły się wyrównywać, aż doszło do tego, że to ja stałem się stroną proponującą partnerowi handicap. Naturalną koleją rzeczy wtedy zainteresowanie ojca tą formą zabawy zmalało, aż wreszcie zarzuciliśmy wspólne sesje szachowe.

Moje postępy wynikały nie ze szczególnych predyspozycji lecz – po prostu i zwyczajnie – z ilości włożonej w to pracy. Jeszcze w 1937 roku, jako ośmiolatek, u wujka Stanisława zauważyłem zamieszczane w prasie codziennej zapisy partii z odbywającego się wtedy meczu o mistrzostwo świata Aljechin – Euwe. Oczywiście z hieroglifów, przy pomocy których relacjonowano przebieg pojedynku, nie byłem w stanie niczego zrozumieć.

Trzy lata później, kiedy pod nieobecność naszego ówczesnego sublokatora feldfebla Nowaka, myszkowałem po jego pokoju, zaintrygowały mnie w gazetach, jakie przynosił do domu, typu „Volkischer Beobachter”, kąciki szachowe, również z zapisami partii.

A rozwiązanie zagadki w pewien sposób zawdzięczam niemieckim żołnierzom. Otóż przywykłem do tego, że pudełko z figurami szachowymi po rozłożeniu staje się zwykle zresztą niedużą, szachownicą. Aliści pewnego dnia, kiedy wąską uliczką przechodziłem obok koszar w stronę ulicy Prostej, przez otwarte okno ujrzałem dwóch Niemców pochylonych nad szachownicą, którą – jak się później dowiedziałem – nazywano olimpijską. Była nie tylko zdecydowanie większa od pudełek, na których dotychczas grywałem ale – co więcej – po bokach miała wyraźnie zaznaczone pola i litery.

Stało się to dla mnie impulsem do ważnego odkrycia. Zrozumiałem, że litery i cyfry służą do oznaczania pola, na którym stawia się daną bierkę. „Wystarczyło przeto wprowadzić niezbędne korekty językowe, np. zrozumieć, że nasza wieża w niemieckich tekstach oznaczana jest literą T (Tum), zaś królowka, czyli hetman, literą D (Dame), dalej rozwikłać co oznaczają dwa lub też trzy zera oddzielone od siebie łącznikami (roszady), skojarzyć, że dwukropek oznacza bicie itd.

Po takim wyczynie mogłem już samodzielnie przystąpić do odczytywania partii a nawet nauczyłem się zapisywać swoje pojedynki z ojcem.

Do polskojęzycznej literatury szachowej dostępu nie miałem, trzeba było zatem korzystać z każdej nadarzającej się okazji i sięgać do źródeł niemieckich.

Długie godziny spędzone na wertowaniu podobnych materiałów nie mogły pozostać bez skutków. Mimowolnie, krok za krokiem, przyswajałem sobie umiejętność analizy.

Postanowiłem wspomnieć o szachach, bo dane im było odegrać istotną rolę w kilku wydarzeniach. Mogłem się przy okazji przekonać, że znajomość gry w szachy bywa niekiedy użyteczna. A przytoczę trzy tylko przykłady.

Ponieważ – o czym szerzej za chwilę – uchylałem się od wyjazdu na roboty do Niemiec, kiedy w końcu dopadli mnie żandarmi wsadzony zostałem do miejskiego aresztu w Kielcach.

Ciemna i ciasna cela, twarde drewniane prycze i towarzystwo, skądinąd okazujących mi nawet pewną życzliwość, drobnych rzeźmieszków nie były tak uciążliwe jak niewiarygodna liczba pluskiew, gromadzących się zwykle na suficie, by stąd – całymi eskadrami – spadać na upatrzone ofiary.

Wracając kiedyś z krótkiego spaceru po aresztanckim dziedzińcu zatrzymałem się chwilę obok stolika, przy którym komendant instytucji, granatowy policjant grał właśnie ze swoim podkomendnym. Ten musiał być kompletnym fuszerem, albowiem komendant nie ukrywał znudzenia. Widząc, że przy patrząc się szachownicy, spytał:

- A ty umiesz w to grać?
- Trochę umiem – odpowiedziałem.
- No to siadaj.

Dotychczasowy partner komendanta z wyraźną ulgą odszedł od stolika a ja – niejako z marszu – wygrałem kilka pierwszych partii. Wyraźnie zainteresowało to mojego przeciwnika. Miałem przy tym na tyle zdrowego rozsądku, że – od czasu do czasu – i jemu pozwalałem coś wygrać. Tak przesiadaliśmy nad szachami parę dni, dzięki czemu moja kara pozbawienia wolności mogła się realizować w dosyć dogodnych warunkach.

Drugi przypadek miał miejsce w Chęcinach. Właśnie tak zwani własowcy, którym zlecano nie zaw sze ambitne zadania, przepędzając przez miasteczko stado bydła, zarekwirowanego zapewne u chłopów z pobliskich wsi, wtłoczyli je na nasze podwórko, sami zaś postanowili przenocować w naszym mieszkaniu. Nie zapowiadało to niczego dobrego.

Na szczęście jeden z nich zauważył na stole szachownicę i spytał, czy umiem grać. Siedliśmy więc do partii. Przegrywał jedną po drugiej.

W Związku Radzieckim, obojętne jakiej dotyczyło to republiki, szachy były czymś w rodzaju gry kultowej, a mistrzowie szachowi cieszyli się tam uznaniem chyba nie mniejszym niż gwiazdy filmowe. Widać nieobce to było także i „mojemu” własowcowi, ponieważ, upewniwszy się, że w szachy gram lepiej od niego, nabrał do mnie nawet pewnego rodzaju szacunku. Zysk z tego zaś był taki, że pobyt u nas nieproszonych gości przebiegł bez najmniejszego incydentu.

Zresztą i wiele lat później w kontaktach z mieszkańcami ZSRR nie brakowało mi dowodów na to, że umiejętności szachowe budzą tam uznanie i często stają się dogodną platformą do budowania autentycznie partnerskich stosunków.

Trzeci przypadek miał przebieg o wiele bardziej dramatyczny. Tu muszę się przyznać, czy też pochwalić, że w tamtych czasach nawet w najtrudniejszych sytuacjach próbowałem zachować zimną krew.

Kiedy pewnego dnia w Rynku, prawie tuż pod naszymi oknami, wybuchła gwałtowna strzelanina, po czym z powodów zupełnie wtedy dla nas niejasnych wokół narastać zaczęło napięcie, najspokojniej w świecie rozłożyłem sobie na stole szachownicę i zacząłem zgłębiać jakieś szachowe problemy.

W pewnym momencie – głośny tupot wielu nóg po schodach (mieszkałiśmy na piętrze), walenie do drzwi i do mieszkania wpadło kilku uzbrojonych po zęby żołnierzy. Szukali ukrywających się rzekomo w pobliżu partyzantów. Zaś albo dla fasonu albo też ze strachu nie dość, że każdy z nich miał co najmniej dwa narzędzia do strzelania, to jeszcze byli bogato obwieszeni granatami.

W kuchni była tylko: matka – jak zwykle przy garnkach i ja – przy swojej szachownicy. Ojciec miał jakieś zebranie w miasteczku i jeszcze do domu nie wrócił.

Jeden z żołnierzy przystawił mi pistolet do głowy:

– Gdzie jest twój partner?

Przyznam, wyglądało to dość groźnie. Jak umiałem, wymamrotałem po niemiecku:

– Ich spiele brieflich!

Żołnierz nie chciał uwierzyć, spytał jednak stojącego w drzwiach feldfebla:

– Es ist möglich?

Na moje szczęście feldfebel, z miną człowieka posiadającego głęboką wiedzę, potwierdził:

– Ja. Es ist möglich.

Mogliśmy przeto, przynajmniej na razie, odetchnąć z ulgą. A tak – przy okazji – gra korespondencyjna ma po niemiecku nazwę Ferschach. Wtedy jednak nie znałem tego terminu, a może to i lepiej, wątpię bowiem, aby znał go również ów wykształcony feldfebel.

* * *

Na dobrą sprawę przecież nic temu żołnierzowi nie nałgałem. Rzeczywiście w wieku czternastu lat, nie mając pod ręką ciekawszych przeciwników zacząłem korespondencyjną grę w szachy a i później (właściwie przez 50 lat!) wyraźnie preferowałem taki właśnie sposób uprawiania tak zwanej królewskiej gry.

Wówczas wśród tak zwanych „szmatławców”, czyli gazet redagowanych dla Polaków pod niemieckie dyktando, spornym wzięciem cieszył się „Goniec Krakowski” docierający także na terytorium kieleczyzny. Otóż w rzeczonym „Gońcu” publikowano co wtorek „kącik szachowy”, robiony zresztą wyśmianicie przez niejakiego doktora K. (po wojnie ścigany był za kolaborację). Było więc oczywiste, że właśnie w każdy wtorek jako pierwszy znajdę się w kolejce przed kioskiem, do którego miano dostarczyć prasę.

Kiedy ów „Goniec” zdecydował się zorganizować szachowy turniej korespondencyjny, zgłosiło się do niego ponad 120 osób (m.in. także późniejszy wielokrotny mistrz Polski w grze bezpośredniej Bogdan Śliwa), w tym – i ja.

Turniej ów wprawdzie nie dobiegł końca, a to – jeśli tak rzecz wolno – z przyczyn od uczestników niezależnych. Kiedy bowiem wojska radzieckie dotarły do Wisły, rozgrywki ustały niejako samoczynnie. Wszyscy z napięciem czekali już tylko na to, jak będzie wyglądał dalszy ciąg, który teraz powinien był nastąpić. Bez względu bowiem na to jakie kto miał poglądy, po doświadczeniach Września dla wszystkich jednak było oczywiste, że przetoczenie się frontu nad głowami nikomu nic dobrego nie wróży.

Być może znajdą się dziś katonowie skłonni sam fakt akcesu do podobnej imprezy poddać surowej krytyce. Wtedy wszakże nikt z nas nie traktował tego jako przejawu kolaboracji.

Oczywiście można się zastanawiać czemu „Gazeta Krakowska” podjęła taką właśnie inicjatywę: czy z prostej chęci pozyskania czytelników, czy też było to przejawem zamiaru władz chcących zasugerować, że w okupowanym kraju życie może toczyć się normalnie, pod warunkiem, iż nie uczestniczy się w działaniach podejmowanych przez „bandytów i komunistów”.

Bez względu na to, jakie były motywy tego przedsięwzięcia, samego faktu czytania „Gońca” nie da się uznać za dowód braku patriotyzmu. Było to bowiem jedyne dostępne nam wtedy źródło informacji. Należało tylko umiejętnie z niego korzystać.

Właśnie wtedy, gdy toczył się nasz turniej, na łamach owej „gadzinówki”, znaleźć można było nader krzepiące wiadomości. Ileż bowiem satysfakcji mogły dostarczać same tylko oficjalne komunikaty Oberkommando der Wehrmacht, w których coraz częściej pojawiała się taka oto standardowa formuła: „nasze bohaterские wojska, stawiając zacięty opór przeważającym siłom nieprzyjaciela i zadając mu

ciężkie straty w ludziach i sprzęcie, celem skrócenia linii frontu wycofały się na z góry upatrzone pozycje”. Po czym wymieniano nazwy miejscowości, gdzie „bohaterskie wojska” dostały właśnie w tyłek.

W tym też właśnie czasie lud natychmiast sparafrazował propagandowe hasło „Deutschland siegt an allen Fronten” na: „Deutschland liegt an allen Fronten”.

Przez dłuższy czas witrynę jednego ze sklepów przy ul. Sienkiewicza w Kielcach przyozdabiała sporej wielkości mapa wschodniej Europy, a przypinane do niej na szpilkach chorągiewki informowały, jak aktualnie przebiega linia frontu. Wyglądało zaś to – trzeba przyznać – imponująco. Właśnie w tym czasie zdecydowano się zrezygnować z takiej formy propagandy wizualnej.

* * *

W Kielcach zazwyczaj mieszkalem u wuja Stefana Czarneckiego, starszego brata matki. Normalnie pracował on na kolei, utrzymując z Niemcami rozległe stosunki nie mające żadnego związku z funkcjonowaniem kolejowego transportu. Uchodził za człowieka, który z Niemcami prawie wszystko może załatwić.

W jego mieszkaniu, tuż obok przeznaczonego dla mnie pokoju, dość często – niekiedy na kilka dni a nawet i na dłużej – zatrzymywali się dwaj nasi dalecy kuzyni: ojciec i syn, Antoni i Tadeusz Galińscy. Często odwiedzali ich wtedy goście, sprawiający wrażenie, że nie są tuzinkowymi osobistościami, i toczyli tam między sobą długie, tajemnicze dysputy.

Było dla mnie oczywiste, że musi to mieć jakiś związek z konspiracją, nie należało w związku z tym przejawiać nadmiernej ciekawości. Skądinąd dla wszystkich, także i dla mnie, bezpieczniej było, aby cztertnastoletni smarkacz nie wiedział zbyt dużo. Toteż dopiero po wojnie dotarło do mnie, że obaj dalecy kuzyni właśnie w tym czasie na terytorium kielecczyny byli czołowymi działaczami PPR.

W środowisku zaś, w którym się obracałem, i w Kielcach i w Chęcinach, wiedza o podziałach istniejących w podziemiu była właściwie zerowa. O partyzantach mówiono „Jędrasie” albo „chłopcy z lasu”, wszystkich, którzy walczyli, traktując z jednakową sympatią.

Wieści zaś o udanych akcjach partyzanckich, ktokolwiek był ich sprawcą, szeroko kolportowane w prywatnych rozmowach podnosiły na duchu, przy czym, jak to zazwyczaj przy tego rodzaju obiegu wiadomości bywa, podlegały procesowi mitologizacji.

Dla przykładu: jeszcze w 1943 roku relacjonowano jako wydarzenie aktualne, prawie sprzed kilku dni, fakt przybycia na mszę w kościele partyzanckiego oddziału, w pełnym umundurowaniu i z bronią. Jak dzisiaj wiadomo, podobne wydarzenie rzeczywiście miało miejsce w Opcznie przy okazji Pasterki, ale jego bohaterami dokładnie w grudniu 1939 roku byli żołnierze „Szalonego majora” – Hubala.

Zdarzali się wprawdzie, także i wokół mnie, ludzie jako tako zorientowani w geografii naszego ruchu oporu, było jednak ich niewielu, a ponad to niechętnie afiszowali się swoją znajomością przedmiotu.

Kiedyś zdarzyło mi się odwiedzić w Kielcach jednego z kolegów znanych mi jeszcze z ćwiczeńówki. My – z dość sporą nawet grupą rówieśników – rozmawialiśmy ze sobą na podwórzu, w samym mieszkaniu zaś, jak się zdaje, trwały poważne debaty polityczne dorosłych.

I właśnie wtedy na podwórzu moi, widać lepiej zorientowani, rówieśnicy zadali mi fundamentalne pytanie:

– A ty za kim jesteś? Za AK, NSZ-tem, AL-em et caetera (tu padło kilka nazw, których nie pamiętam i wówczas nie wiedziałem nawet, czego właściwie dotyczą).

Nie chcąc przyznać się do kompletnej ignorancji, zaryzykowałem bezpieczną, jak mi się zdawało, odpowiedź:

– Jestem za wojskiem polskim.

Zostało to przyjęte z aprobatą, albowiem nie tylko w naszym gronie, ale i wśród starszych od nas młodych ludzi w wieku, nazwijmy to, partyzanckim, pełne prawo obywatelstwa uzyskiwał pogląd:

– Naszym obowiązkiem jest wywalczyć wolną Polskę. A tym, jak ją urządzić, niech się później martwią politycy.

Niestety przyszłość miała się okazać bardziej skomplikowana niż można było tego oczekiwać, stąd realizacja tej prostej doktryny natrafiła na niemałe przeszkody.

Sądne dni

Po rozstaniu się ze sklepem spożywczym udało mi się uzyskać posadę gońca w Izbie Rzemieślniczej w Kielcach. Nawet dosyć mi się to podobało, zwłaszcza że panie stanowiące większość personelu biura były dla mnie miłe. Głównym zaś moim zadaniem było rozwożenie zawiadomień o zebraniach cechowych, a także o egzaminach czeladniczych i mistrzowskich. Do tego celu otrzymałem służbowy rower. Docierałem nim nawet do odległych od śródmieścia osiedli, nie narzekałem więc na brak ruchu: takich zawiadomień bywało niekiedy więcej niż sto.

Ponieważ zaś pomiędzy tymi rajdami trafiały się niekiedy „okienka”, miałem okazję doskonalić umiejętność pisania na maszynie i nauczyłem się obsługiwać płaski powielacz, co spotkało się

z życzliwą reakcją ze strony współpracowników, bowiem teraz mogli już na mnie zwałać tę dosłownie brudną robotę.

Pewnego dnia, kiedy obładowany takimi przesyłkami podjechałem na pocztę przy ul. Sienkiewicza, gdzie również miałem nadać kilka listów i właśnie odchodziłem już od okienka, nagle do obszernej sali wtargnęło kilku umundurowanych Niemców, zaś dwóch dalszych, w cywilu, ale w skórzanych płaszczach nie pozostawiających wątpliwości kogo reprezentują, zablokowały wejściowe drzwi. A więc – łapanka.

Nie straciłem rezonu. Natychmiast podszedłem do cywilów w drzwiach i demonstrując im plik zaawizowań, jakie zostały mi jeszcze do rozwiezienia, wszcząłem awanturę. Krzyczałem, z naturalnie wyglądającą irytacją, że oto ja jeszcze tyle ważnej pracy mam do wykonania, a panowie mi to utrudniają.

I nie wiem czy dlatego, że krzyk zazwyczaj dobrze na Niemców działał, czy też cerberów rozbawiła moja reakcja, w każdym razie zdecydowali się mnie wypuścić. Przeto dosiadłem roweru i ile sił w nogach oddaliłem się od miejsca zajścia.

Ale, jak powiada stare przysłowie, co się odwlecze to nie uciecze. Na adres chęciński przyszło bowiem po mnie wezwanie do kieleckiego Arbeitsamtu.

Zachowałem się jak idiota zgłaszając się, wyznaczonego dnia i w wyznaczonym pokoju przed oblicze funkcjonariusza tego urzędu. Był niewysoki, nosił okulary, jak się okazało mówił niezłe po polsku, w ogóle miał wygląd poczciwego belfra. Jednak bez żadnej tam poczciwości zakomunikował mi stanowczo, że spotkał mnie zaszczyt – mam wyjechać na roboty do Niemiec.

Tu palnąłem kolejne głupstwo próbując mu wytłumaczyć, że ja przede wszystkim chcę się uczyć. Oczywiście nie wywarło to na nim żadnego wrażenia: okupantom bynajmniej nie zależało na tym, ażeby polscy Untermensche zdobywali jakiegokolwiek, wyższe niż podstawowe, wykształcenie.

Wreszcie uruchomiłem ostatnie zasoby inteligencji czternastolatka. Poprosiłem go, aby pozwolił mi wrócić do domu, bym mógł dobrze przygotować się do tak ważnego wyjazdu, zapewniając go solennie, że skoro już raz, jak widać, zgłosiłem się tu dobrowolnie, z pewnością przybędę tu ponownie w terminie, który zechce mi wyznaczyć.

Niechętnie, jednak wyraził na to zgodę, mogłem więc wymaszerować na ulicę. A ponieważ na tę jego zaszczytną eskapadę nie miałem najmniejszej ochoty, więcej mnie już w swoim Arbeitsamcie nie zobaczył.

Trzeba było zatem zmienić i adres, i pracę. Mimo wszystko rozsądniej było pozostać w Chęcinach za namową rodziny – zatrudniłem się w Fabryce Materiałów Fotograficznych w Kielcach. Pomysł ten miał tylko jedną zaletę: fabryka, nie wiedząc czemu, uznana została za „Kriegswichtigbetrieb”, przeto legitymacja z jej pieczętką teoretycznie zapewniała na ulicy większe bezpieczeństwo aniżeli pospolita kenkarta.

W tym „ważnym dla celów wojennych” przedsiębiorstwie trafiłem do sortowni papierów światłoczułych. Przeglądało się tam każdy wyprodukowany egzemplarz papieru fotograficznego, przeważnie w formie półpocztówki, eliminując egzemplarze, na których występowały zabrudzenia, zadrapania lub też braki emulsji. Oczywiście odbywało się to w ciemni, przy słabym oświetleniu lampami w kolorze czerwonym.

Praca w takich warunkach nie była łatwa, toteż przez dłuższy czas nie byłem w stanie wyrobić przewidzianej normy, co umiejętnie kryli przed treuhanderem moi starsi koledzy (tj. – ściślej mówiąc – koleżanki, albowiem, poza mną, był tam kompletny babiniec). Wszelako pomysł ulokowania mnie w tej wytwórni dość szybko okazał się niefortunny. Pewnego dnia wezwany zostałem do gabinetu treuhandera, gdzie czekało już na mnie dwóch niemieckich policjantów. Odstawili mnie do kieleckiego aresztu miejskiego, gdzie miałem czekać na dalsze decyzje.

Wtedy do akcji zdecydowanie przystąpiła moja matka. Nie wiem jakimi argumentami zdołała zmiękczyć owego „belfra” z Arbeitsamtu, nie tylko zgodził się mnie stamtąd uwolnić, ale nawet – wraz z matką osobiście w tym celu pofatygował się do owego aresztu.

Sprawa nie została zamknięta – nie zostałem wykreślony z listy. Toteż później parokrotnie przyjeżdżali mnie szukać w Chęcinach żandarmi – jako uciekiniera. Na szczęście w podwórzu udało się znaleźć kryjówkę, której sam diabeł chyba by nie odkrył, zaś moi młodszy bracia zorganizowali niezawodny, jak się okazało, system wczesnego ostrzegania, uruchamiając go kiedy tylko w miasteczku pojawili się mundurowi.

Oczywiście sąsiedzi, kiedy ich o mnie pytano, zgodnie odpowiadali, że kiedyś taki tu nawet był, ale już dawno nikt go nie widział. Nie muszę dodawać, że te żandarmeryjne polowania wyraźnie przydawały mi prestiżu, zwłaszcza wśród koleżanek.

Wszelako wpadka z Arbeitsamtem, jak miało się wkrótce okazać, stanowiła tylko pogodne preludium do czekających nas wydarzeń.

Otóż pewnego dnia dwaj młodzi AK-owcy, chęciniacy zresztą, w gaju na górze zamkowej gołymi rękami zaatakowali również dwuosobowy patrol niemiecki i odebrali żołnierzom karabiny. W tym czasie

w miasteczku, po raz pierwszy od 1939 roku, stacjonowała niemiecka jednostka. Mówiono o nich „lotnicy”, ponieważ nosili jasno granatowe mundury opatrzone odznakami świadczącymi, że należą do Luftwaffe. Nie wiadomo zaś, co w istocie mieli z lotnictwem wspólnego, ponieważ w najbliższej okolicy lotniska ani innych obiektów, które mogły dostarczać im zatrudnienia, nie było.

Słusznie uczy stara złodziejska zasada: nie należy kraść w pobliżu miejsca zamieszkania. Nasi bohaterowie spod zamku (wyczyn ich – rzecz jasna – spotkał się z powszechnym uznaniem) zlekceważyli jednak to mądre правило i pewnego dnia pojawili się wieczorem na chęcińskim Rynku.

Stała tam również grupa niemieckich żołnierzy. Przypadek zaś chciał, że znalazł się wśród nich także i jeden z poszkodowanych w tym karabinowym incydencie, co więcej – rozpoznał swoich niedawnych prześladowców. Ponieważ zaś i AK-owcy nie przyszedli z pustymi rękami, wywiązała się, trwająca dobrych kilka minut, strzelanina.

W niemieckiej jednostce natychmiast ogłoszono alarm bojowy i wkrótce cały Rynek otoczony został przez wojsko.

Nie wiem, czy w strzelaninie ucierpiał także któryś z Niemców, zaś ranni zostali obaj nasi bohaterowie: Ziółkowski – dość ciężko w brzuch, Dąbrowski – w rękę.

Ziółkowskiego udało się kolegom z Rynku ewakuować i jakoś w końcu tę wojnę przeżył. Dąbrowski zaś, Panie świeć nad jego duszą, pobiegł do lekarza opatrzyć ranę. Niemcy zaś przeszukiwali dom po domu i zagarniali kogo się dało. Trafili także i do gabinetu lekarskiego, skąd zabrali nie tylko rannego, ale i tego, kto mu udzielał pomocy.

Łącznie zatrzymano 12 osób, w tym także – niestety – naszego ojca, który – nie wiedząc w czym rzecz – najspokojniej wracał do domu z posiedzenia jakiegoś komitetu pomocy społecznej.

Aresztowanych natychmiast wywieziono do Kielc i stało się jasne: winien nie winien – zostaną rozstrzelani jako zakładnicy.

Dla mnie oznaczało to okres nowych zadań. Ponieważ matka dość często jeździła do Kielc, bądź to dostarczając ojcu paczki do więzienia, bądź też próbując uruchomić wszelkie możliwe mechanizmy interwencji, jako najstarszy musiałem na serio opiekować się młodszym rodzeństwem, a przy okazji opanować biegle sztukę przyrządzania zalewajki – podstawowej wówczas pozycji naszego jadłospisu.

Już wtedy matka zaczęła mnie traktować po partnersku – jako osobę, która musi, po ojcu, przejąć część obowiązków głowy domu.

Oczekiwanie na wyrok ciągnęło się dobrych kilka miesięcy. I nie wiem na ile można to zawdzięczać interwencjom, na ile zaś przysłowiowej niemieckiej pedanterii: skoro bowiem zatrzymano dwunastu, a norma do rozstrzelania wynosiła dziesięciu, dwóm nadliczbowym, w tym także i ojcu, pozwolono wrócić do domu.

Po tym przejściu zmienił się zresztą nie do poznania. Długotrwałe oczekiwanie na wyrok, a być może i formy przesłuchań, pozostawiły trwale blizny na jego psychice. Długo nie mógł otrząsnąć się z szoku.

Nie pytaliśmy go o nic, ponieważ widać było, że chciałby możliwie szybko o tym wszystkim, zapomnieć.

Chęciny miały zaś przed sobą jeszcze jedno trudne doświadczenie – nazwano to później „sądnym dniem”. Pewnego dnia miasteczko otoczone zostało przez żandarmerię, wszystkich mieszkańców spędzono na Rynek i tu podano im do wiadomości, że w odwecie za atak na Niemców w okolicach Czerwonej Góry, dokonany przez „bandytów i komunistów”, rozstrzelanych zostanie kolejnych dziesięciu „zakładników”. Nie wiem na jakiej zasadzie dobrano listę ofiar, czy było to dziełem czystego przypadku, czy też ktoś im taki właśnie zestaw poradził. Nigdy też nie udało nam się ustalić ani co to za incydent przydarzył się obok Czerwonej Góry, ani kto, jaka organizacja podziemna, była jego sprawczynią. Z całą pewnością Chęciny nie miały z tym nic wspólnego. Wśród przeznaczonych do „rozwałki” znaleźli się m.in. nieliczni przedstawiciele tutejszej inteligencji.

To właśnie wtedy pod kulami plutonu egzekucyjnego zginął m.in. szef mojego ojca, sędzia, człowiek jeszcze młody, kulturalny, wrażliwy, wielkiej uczciwości, który dotąd – z miernym zresztą powodzeniem – usiłował nauczyć mnie francuskiego.

* * *

Warto wspomnieć o jednej jeszcze egzekucji, choć miała ona odmienny charakter. Otóż pewnego dnia (dla ścisłości – jeszcze przed wydarzeniami, o których była mowa wyżej) zjawił się w miasteczku osobnik, który otworzył tu szkołę rolniczą a był w niej zarówno dyrektorem jak i jedynym nauczycielem.

Na rolnictwie zaś znał się chyba jeszcze mniej, niż my wszyscy, jego uczniowie, na astronomii, co ujawniło się już w czasie pierwszych lekcji. Zapisaliśmy się do jego szkoły, ponieważ w zamian można było otrzymać stosowny dokument. Nie było zaś wówczas nic gorszego niż brak przy sobie, w razie jakiegokolwiek kontroli, wiarygodnie wyglądającego papierka.

Ów dyrektor i nauczyciel zarazem, dziwnie upodobał sobie nasz dom i dość często do nas zaglądał, głównie na rozmowy z naszą matką. Przy każdej okazji nie mógł się nachwalić, jak to u nas, w miasteczku, spokojnie i bezpiecznie.

Wzbudziło to nawet moją nieufność. Powiedziałem więc matce, że facet za często opowiada o tym bezpieczeństwie i chyba coś z nim musi być nie tak.

Intuicja mnie nie zawiodła. Niewiele czasu minęło, a znaleziono go martwego w budynku szkolnym z przypiętą na piersi karteczką, że w imieniu narodu polskiego wykonano wyrok za zdradę ojczyzny.

Minęło to bez następstw. Niemcy stawali się bezwzględni, gdy chodziło o kogoś z nich. Tych zaś co im się wysługiwali, traktowali jak śmieci.

* * *

Po upadku Powstania Warszawskiego obok nas zamieszkała rodzina uchodźców z Warszawy. Pan Żelazkiewicz, bo tak się nazywał nasz nowy sąsiad, prawdopodobnie był inżynierem, w Chęcinach jednak otworzył zakład zegarmistrzowski i zajmował się w nim, z powodzeniem, naprawą budzików i „cebul” okolicznej klienteli.

Kiedy opowiadali nam o swoich przeżyciach, dochodziliśmy do wniosku, że my, siedząc w Chęcinach i tak trafiliśmy nie najgorzej. Rzeczywiście niefortunny dyrektor ze szkoły rolniczej miał sporo racji: u nas było względnie spokojnie i bezpiecznie. Nie zmienia to faktu, że najpierw, w ramach holocaustu, wymordowano więcej niż połowę mieszkańców, że później były dwie egzekucje, po 10 osób każda, no i kilka jednostkowych przypadków gwałtownej śmierci.

* * *

Kiedy się podczas okupacji usłyszało w pobliżu ludzi mówiących językiem Schillera i Goethego, zazwyczaj zapowiadało to grube nieprzyjemności, tym bardziej, jeśli byli umundurowani. Toteż wielu z mojego pokolenia do dziś żywi do niemieckiego nieuleczalną awersję.

Ażeby zaś samemu nie ulec tej, skądinąd usprawiedliwionej psychozie, starałem się odszukać w mojej pamięci postaci Niemców, którzy ujawniali w tym czasie zwyczajną ludzką wrażliwość. Zapewne nie było ich zbyt wielu, chodzi jednak o znalezienie przynajmniej dziesięciu sprawiedliwych w Sodomie.

Niewątpliwie w jakiejś mierze mogłoby to dotyczyć owego „belfra z Arbeitsamtu”, który zrozumiał dramat matki. Ale trafił nam się i jeszcze jeden, zasługujący na odnotowanie, przypadek.

Kiedy bowiem ojciec siedział w kryminale spodziewając się egzekucji, a matka dokonywała cudów, ażeby czymkolwiek nas wyżywić, z jakiejś okazji pojawił się w naszym mieszkaniu feldfelbel z owej jednostki lotniczej, o której już była mowa. Był masywnie zbudowany, dobrze po czterdzieście, postawą i zachowaniem odpowiadający standardowi pruskiego podoficera. Zobaczywszy matkę borykającą się z gromadką czworga dzieci, samorzutnie postanowił nam pomóc.

I oto przez pewien czas, codziennie w porze obiadowej, donosił nam dużą, kopsiastą menażkę zupy. Był to typowy żołnierski „eintopf” ze sporą ilością mięsa i tłuszczu.

– Masz, matka! – mówił, bo tyle umiał po polsku, czekał aż zupa zostanie przelana do naszego naczynia, zabierał swoją menażkę i bez słowa odchodził.

Smaczne to wprawdzie nie było, chyba głównie dlatego, że Niemcy w ogóle do potraw nie używali soli. Po przyprawieniu nadawało się jednak do zjedzenia a stanowiło pożywny obiad dla całej naszej rodziny. Nie wiem, może sam był ojcem i tęsknił za dziećmi, które musiał zostawić gdzieś w Reichu, a może dokuczało mu, że uniform, jaki nosił, traktowany jest jako symbol krzywd i nieszczęść?

A to donoszenie nam zupy trwało tak długo, jak długo jego jednostka stacjonowała w miasteczku.

U „Żbika”

Perypetie ojca, a następnie ów „sądny dzień”, zachwiały nasze dotychczasowe przekonanie, że – mimo wszystko – żyjemy w bezpiecznym miejscu. Postanowiliśmy więc latem przenieść się na wieś – do oddalonych o trzy kilometry Skibów. Nasi gospodarze, za niewielką opłatą, okazali się gościnni: oddali nam do dyspozycji swoją największą izbę, w której – obok łóżka dla rodziców – na podłodze dla dziatwy położono sienniki.

Z tego pobytu zapamiętałem przede wszystkim nieprawdopodobną liczbę much. Cała czwórka – nie mając nic lepszego do roboty – zmajstrowała sobie packi i przystąpiliśmy do szturmowania na te stworzenia, skrupulatnie odliczając ilość „zwycięstw powietrznych”. A tłukliśmy ich dziennie od 300 do 500 sztuk. Gospodyni, trzeba przyznać, bez sprzeciwu przyjmowała tę naszą ingerencję w naturalne środowisko, zwłaszcza że łupem skarmialiśmy kury wyraźnie zadowolone z takiego menu.

Dzięki naszej determinacji po kilku dniach w izbie nieco przejaśniało, co nie oznacza, że problem rozwiązany został radykalnie. Nie było to możliwe z oczywistego powodu: chata bowiem pod jednym

dachem mieściła zarówno część mieszkalną, jak i oborę. Oba te zespolone ze sobą segmenty oddzielała tylko wąska sień.

Obora dość szybko rekompensowała ubytek owadów, a nie mogliśmy do niej wtargnąć z naszą aktywnością, bo tam trzeba by było taplać się w gnoju.

Jeśli chodzi o żywność – gospodarze udostępniali nam to wszystko, co sami mieli. Działo się to na przednówku, toteż podstawowym, a niekiedy i jedynym daniem obiadowym, także i dla nich, były „kasa z mlikiem” albo „źmioki z mlikiem”. Nic przy tym nie wskazywało na to, że położenie materialne naszych gospodarzy było gorsze niż innych mieszkańców tej wsi. Prawdopodobnie właśnie na takim poziomie wegetowali tu jeśli nie wszyscy, to prawie wszyscy. Nie to jednak stało się przyczyną naszej rejterady, lecz doniesienia o przeprowadzonych w pobliżu karnych ekspedycjach egzekwujących wobec chłopów zaległości w oddawaniu kontyngentów.

W tym stanie rzeczy umyśliłiśmy sobie, że matka z trójką młodszych powróci do miasteczka, my zaś – obaj z ojcem – spróbujemy dostać się do partyzantki.

Przypadkowo ojciec, jeszcze z wojska, znał dowódcę jednego ze stacjonujących w pobliżu leśnych oddziałów, ten bowiem, teraz już oficer, był kiedyś sierżantem w 4 ppLeg. I chyba głównie z tego powodu skierowaliśmy się właśnie w tę stronę.

„Żbik”, bo takie pseudo miał komendant, obejrzał nas jednak krytycznie, a zwłaszcza mnie, nie wygładałem bowiem na atleję, po czym stanowczo oświadczył, że żadnych nowych partyzantów nie potrzebuje i polecił nam wrócić do domu. Na osłodę jednak pozwolił wziąć udział w „szkoleniu ideologicznym”, a także obejrzeć apel wieczorny.

W dwuszeregu, a było ich co najmniej trzydziestu, ustawili się owiani legendą chłopcy z lasu. Światło księżyca urokliwie migotało na lufach automatów i karabinów. Przez chwilę zapomnieliśmy o okupacji. Wydawało nam się, że oto znowu powróciła Polska, polskie wojsko i polska pieśń. Śpiewali zaś przed snem „Modlitwę partyzancką”, wzruszający utwór, którego już nigdy później nie udało mi się usłyszeć. Dobrze jednak zapamiętałem słowa:

O Panie, któryś jest na niebie
wyciągnij sprawiedliwą dłoń.
My zewsząd wołamy do Ciebie
o polski granat, polską broń.
O Boże skróć ten miecz co siekł nasz kraj.
Do wolnej Polski nam powrócić daj,
by stał się twierdzą nowej siły
nasz dom, nasz kraj!

Po apelu nie mieliśmy już innego wyjścia, choć była noc, niż udać się w powrotną drogę. Przy okazji dowiedziałem się – bo starsi koledzy tłumaczyli to właśnie jakiemuś mniej doświadczonemu – jak najlepiej pozbywać się wszy. Należało mianowicie użyć możliwie gorącego żelazka. A kiedy prasowało się np. spodnie i słychać było ciche trzaski, oznaczało to, że zabieg jest skuteczny: insekty pękają pod wpływem wysokiej temperatury.

* * *

Skoro zaś o partyzanckich pieśniach już mowa – w naszej okolicy ogromną popularnością cieszyły się m.in. „Dziś do Ciebie przyjść nie mogę”. Zapisalem sobie wówczas ów tekst i kiedyś „sprzedałem” go Irkowi Kanickiemu. On zaś bez wahania użył go jako motywu przewodniego do scenariusza widowiska teatralnego, skądinąd dobrze przyjętego przez publiczność.

* * *

Wracając od „Żbika” do domu, zmęczeni drogą, postanowiliśmy – obaj z ojcem – przespać się w napotkany na polu stogu siana. Było w nim wprawdzie dość ciepło, chociaż – nie ukrywam – dokuczały ostre źdźbła zeschniętej trawy.

Przed świtem obudziły nas jednak, od północnego zachodu, silne detonacje i efektowne rozbłyski.

Dopiero po wielu latach poznałem przyczynę tego spektaklu: to AL-owcy pod Piekoszowem wysadzali właśnie w powietrze pociąg wypełniony amunicją dla Wehrmachtu.

13 stycznia 1945 – Front idzie

12 stycznia 1945 roku, przed południem zaintrygowały nas odgłosy wystrzałów od południowego wschodu. Na to, ażeby front wreszcie się ruszył, niecierpliwie czekaliśmy od dawna choćby dlatego, że każdy chciał mieć już związane z tym emocje za sobą. Ta strzelanina sprawiła nam wyraźny zawód. Po pierwsze trwała niepełną godzinę. Po wtóre wyglądała i nietypowo, i dosyć anemicznie.

Kiedy po godzinie nastąpiła cisza, uznaliśmy że był to mało znaczący incydent, a na prawdziwą ofensywę przyjdzie nam jeszcze poczekać do czasu, kiedy granie armat potrwa przynajmniej kilka dni.

O przebiegu walk pod Sandomierzem dowiedzieliśmy się dopiero wiele lat później, póki co, mogliśmy się delektować widokiem długiego szeregu zapewne zarekwirowanych chłopom furmanek, na których niemieccy taborycy wieźli na zachód resztki wojskowego dobytku.

To już nie była tamta armia znana nam z daleszyckiej szosy – uśmiechniętych, pewnych siebie młodych ludzi, w mundurach wyjętych jakby wprost spod igły, siedzących wygodnie w nowiuteńkich ciężarówkach. Tym razem furmankami wiozącymi jakiś chłam sterowali starsi już ludzie, pewnie koło pięćdziesiątki, chyba bauerzy, w zlachmanionych mundurach, nie regulaminowo otuleni szmatami przypominającymi mocno zużyte chusty lub szaliki (był przecież mróz), a kiedy spoglądało się im w oczy widać w nich było już nawet nie strach, ale rozpacz. Być może nawet zasługiwali na zwyczajne ludzkie współczucie, zwłaszcza, że pewnie daleko tymi swoimi furmankami nie zajechali, przecież po latach okupacji człowiek w niemieckim mundurze mógł liczyć wyłącznie na nienawiść.

Późnym popołudniem, a może już pod wieczór, zaczęły swój koncert karabiny maszynowe, początkowo ze znacznej odległości, chociaż z godziny na godzinę terkotały coraz bliżej.

Ktoś, kto właśnie wrócił spod tokarni, 6 kilometrów na południe od nas, rozповідаł, że tam są już rosyjskie czołgi i że Niemcy nie zdążyli wysadzić mostu na Czarnej Nidzie.

* * *

Odległość z Chęcina do Kielc wynosi około 15 kilometrów. Tego dnia właśnie matka wczesnym raniem wybrała się do Kielc, do rodziny, wzięwszy sobie do towarzystwa liczącego już dwanaście lat Marka.

Wyraźnie dopisało im szczęście, ponieważ zarówno rano jak i po południu, w drodze powrotnej, kiedy obładowani byli żywnością pozyskaną od rodziny, szybko trafili na dogodną „okazję”. Chłopi na ogół życzliwie traktowali „podróżników” i godzili się podwozić ich nawet wtedy, gdy nie łączyło się to z finansową rekompensatą.

Na wozie zaś, który późnym popołudniem telepał się w stronę Chęcina, znalazła się nie tylko grupa Polaków, lecz także oficer niemiecki w mundurze i Niemiec w cywilu, dobrze zresztą mówiący po polsku.

Już niedaleko miasteczka, kiedy przejeżdżali odcinkiem szosy wiodącym przez las, a właśnie mijają ich dwóch konnych „kałmuków”, zaszczekały pistolety maszynowe. Już pierwsze serie skosiły „kałmuków”. Pasażerowie wozu natychmiast zeskoczyli do pobliskiego rowu. Tylko Marek, wierny widać metodzie, jaką już ongiś wypróbował w Daleszycach, głęboko zagrzebał się pomiędzy workami.

Z lasu wyłoniła się spora grupa radzieckich zwiadowców – prawdopodobnie w głąb niemieckich pozycji przenikało sporo podobnych oddziałów. Natychmiast zastrzelili leżącego w rowie oficera, po czym zapytali podróżnych, czy są jeszcze wśród nich Niemcy. Polacy spoglądali po sobie, cywil błagalnie ścisnął matkę za rękę, i zgodnie stwierdzili, że żadnego Niemca tu nie ma. Nikt nie chciał brać na swoje sumienie tej śmierci.

Zwiad dłuższą chwilę przetrzymał całą grupę, wreszcie dowódca puścił ich w dalszą drogę.

– Tam jeszcze żdut na was giermancy!

I oddział znowu zagłębił się w las, kierując się na zachód.

Przestraszony chłop odmówił dalszej jazdy i skręcił swoim wehikułem w najbliższą polną ścieżkę. Byłym pasażerom przyszło więc dalszą podróż kontynuować piechotą.

Cywil-Niemiec chciał maszerować razem z nimi. Wszyscy jednak zażądali stanowczo, ażeby się odczepił. I tak uczynili dla niego może więcej niż powinni. Rad nie rad i on więc ruszył polną drogą. Jak daleko zdołał ujść – nie wiadomo. Kiedy zaś wędrownicy dotarli już do celu, przy wjeździe do miasteczka ujrzeli gotowe do walki działo sporego kalibru a wokół niego, w pobliskich zabudowaniach, grupę żołnierzy w mundurach feldgrau na stanowiskach bojowych.

Zapytano przybyszów, czy po drodze nie widzieli gdzieś Rosjan. Wszyscy Polacy, prawie chórem, odpowiadzieli, że żadnych Ruskich nie było.

* * *

Późnym wieczorem kaemy prawie całkowicie umilkły i nastąpiła kilkanaście godzin względnej ciszy, z rzadka tylko zakłócaną pojedynczymi strzałami. Najważniejsze wydarzenia miały nastąpić dopiero nazajutrz.

Nim o nich spróbuję opowiedzieć – drobna uwaga: tym razem nikt przed nadejściem frontu nie umykał, a to nie tylko dlatego, że wszyscy mieli już Niemców dość, ale chyba też ze względu na pamięć o skutkach wrześnie wojny.

Jeden tylko znalazł się wyjątek. Otóż na naszym podwórku mieszkał lekarz, którego nazwisko nie zachowało się w mojej pamięci, mało kto zresztą mówiąc o nim posługiwał się jego nazwiskiem – znany był powszechnie jako „chaliera” względnie „macykura”, albowiem z upodobaniem hodował drób i widać lubił świeże jajka, skoro dzień w dzień rano obmacywał swoje kury chcąc się zorientować, czy może się od nich spodziewać swojego przysmaku.

Otóż „chaliera”, względnie „macykura” służył ongiś w armii carskiej, właśnie jako medyk, a w Chęcinach schronił się uciekając przed rewolucją. Od tamtych czasów w umiejętnościach zawodowych większych postępów nie poczynił, nie miał więc jako lekarz najlepszej reputacji, toteż – jeśli tylko było można – starano się go omijać, zwłaszcza przy bardziej skomplikowanych schorzeniach.

Był jednak użyteczny, kiedy komuś trzeba było np. przeciąć wrzód albo usunąć chory ząb. A że rwał bez znieczulenia, często z jego gabinetu na piętrze dochodziły nas wrzaski pacjentów przypominające, iż taki zabieg, zwłaszcza na chorym zębie, bywa bolesny.

Kiedy więc front zbliżał się zaczął od Wisły, „macykura” spakował na dwa chłopskie wozy cały dający się na nich pomieścić dobytek i chyłkiem ruszył w nieznanym kierunku. Zapewne sądził, że jego białogwardyjska przeszłość w nowych okolicznościach może okazać się krępująca.

Później wyjaśniło się, że w końcu osiadł gdzieś na Ziemiach Odzyskanych i tam, też w jakimś małym miasteczku, kontynuował lekarską praktykę, przy czym chyba nikt się go o te prehistoryczne czasy nie czepiał.

Sztorm

13 stycznia dość wcześnie wyszedłem na ulicę. Zaraz przydybał mnie niemiecki żołnierz. Zapewne otrzymał rozkaz, ażeby – rękami Polaków – zmontować dwie przygotowane już przy wjeździe do miasteczka, od południowej strony, zapory przeciwczołgowe.

Pomyślane były chytrze i zlokalizowano je pomysłowo. Rusztowanie każdej z nich stanowiły cztery grube bale, głęboko wkopane w ziemię po obu stronach drogi. Obok zaś – na poboczu – czekały równie solidne kolce: wystarczyło tylko wtaszczyć je pomiędzy pnie rusztowania i zapora była gotowa. Ponieważ zaś w tym miejscu szosa przebiegała jakby głębokim wąwozem objechać ich nie było sposobu, staranować czołg, nawet ciężki, nie dałby rady, a i ostrzał artyleryjski byłby nieskuteczny. Można więc było je rozebrać albo wysadzić w powietrze. W obu przypadkach jako minimum obrońcy zyskiwali na czasie.

Rzecz jasna nie miałem najmniejszego zamiaru uczestniczyć w podobnego rodzaju budownictwie, toteż – wykorzystując chwilę nieuwagi mojego nadzorca – czmychnąłem w najbliższe przechodnie podwórko. A że inni potencjalni „gastarbeiterzy” także w porę zdołali się gdzieś ukryć, bezradny żołnierz machnął ręką i zrezygnował z wypełniania swej misji. Wkrótce to zaniechanie okazało się poważnym błędem.

Około godziny dziesiątej w stan alarmu postawił nas bardzo już bliski i głośny terkot karabinu maszynowego, właśnie od strony, gdzie miały stanąć obie te zapory. Natychmiast wybiegłem na Rynek. Słyszalność była wprawdzie znakomita, jednak spoza meandrow krętej drogi póki co nic widać nie było.

Podbiegł do mnie komendant miasta, chyba oberleutnant, i zdenerwowany spytał:

– Was ist los?

Po pierwsze sam też nie wiedziałem co się dzieje, a odpowiedź typu „to pewnie krasnoludki i sierotka Marysia” zapewne nie byłaby w najlepszym guście. Przeto bezradnie rozłożyłem ręce.

Wróciłem do domu zanim zdołałem zarejestrować w pamięci stan rzeczy na Rynku. Gęsto tam było od niemieckich samochodów, od rozklekotanych ciężarówek po wytwornie wyglądającą limuzynę. Ale w głębi za nimi, pod północną ścianą, stała Pantera. W mieszkaniu matka pośpiesznie pakowała pościel w zawiniątka. Podobnie zresztą postępowali nasi sąsiedzi.

Powstał jednak problem wymagający natychmiastowego rozstrzygnięcia: gdzie właściwie mamy się schronić. W podobnych przypadkach prawie nikt nie decyduje się zostać w mieszkaniu. Piwnica odpadała zaś z dwu zasadniczych powodów. Po pierwsze wejście do niej było i ciasne i niewygodne, po wtóre cały strop nad nią był z drewna. Gdyby więc dom się zapalił, nie było żadnej szansy, ażeby się stamtąd wydostać.

Zwykle jednak w podobnych sytuacjach znajduje się ktoś, kto umie przejąć inicjatywę. Tym razem był to kierownik pokontyngentowego magazynu zbożowego, podobno zawodowy oficer. Właściwie zmusił nas do zajęcia miejsc w obszernym korytarzu frontowego budynku, a było to chyba najmniej bezpieczne miejsce na całej posesji, ponieważ właśnie tuż obok nas miała rozegrać się bitwa.

Tu właśnie, rzecz jasna pod ścianami, rozlokowaliśmy się na przytасzczonych tobołach. Ktoś nawet zaintonował „Pod Twoją obronę”, nie uzyskawszy jednak poparcia ogółu zamilkł. Na krótką chwilę zapanowała więc głucha cisza.

Od Rynku nasz korytarz oddzielał tylko lokal sklepowy – sprzedawano tam zwykle naczynia kuchenne. I właśnie tuż za tym sklepem trzy razy walnęło faktycznie jak z armaty. A już po pierwszej detonacji usłyszeliśmy brzęk szkła: to wyleciały szyby i u nas, i w sąsiednich budynkach.

Dalej było kilka serii z kaemów, chwila ciszy i znowu usłyszeliśmy liczne, jakby przytłumione eksplozje, których pochodzenia nie umieliśmy zidentyfikować: nie przypominały nam niczego, co dotąd znane nam było z doświadczeń.

Wreszcie w małym okienku, od strony drogi krakowskiej, pojawił się człowiek z pepeszą, w czarnym mundurze (zapewne czołgista). Przyjrzał się nam dokładnie i chyba tylko dla czezej formalności zapytał:

– Giermancow u was niet?

Po czym, nie czekając nawet na odpowiedź, odszedł w tak dobrym humorze, jakby wybierał się nie na wojowanie, lecz na zabawę w remizie strażackiej. Po jego odejściu nie ustawały owe tajemnicze eksplozje. Wreszcie ktoś zdobył się na odwagę, podkraść się do bramy i wyjrzał przez szparę pomiędzy deskami. Oznajmił nam:

– Pod domem pali się czołg.

Po dłuższej chwili, ponieważ inne odgłosy walki już do nas z Rynku nie docierały, zdecydowaliśmy się wyjrzeć na ulicę.

Paliły się dwa czołgi: pierwszy tuż obok nas, następny – niewiele dalej – przy wjeździe z Rynku w ul. Małogoską. Zasadnicza zaś dla nas różnica polegała na tym, że ogień z „naszego” czołgu jakoś domowi nie zaszkodził, od tego zaś na Małogoskiej doszczętnie spłonęła narożna kamienica. Pozostały po niej tylko gołe fundamenty.

Nagle podszedł do mnie, życzliwie się uśmiechając, wysoki Krasnoarmiejec.

– Pan. Czasy imiejesz?

Ale nie miałem zegarka, przeto rozstaliśmy się w przykładowej zgodzie.

Wkrótce okazało się, że nieznani sprawcy dokładnie splądrowali zegarmistrzowską pracownię pana Żelazkiewicza i wynieśli z niej wszystko, także budziki czekające dopiero na reperację.

To nierzadkie „Pan, dawaj czasy!” długo jeszcze było tematem ironicznych komentarzy.

* * *

Po kilku godzinach dane mi było stać się świadkiem unikalnego widowiska. Mianowicie przez Rynek w Chęcinach, w kilometrami ciągnącej się kolumnie, zaczęły przetaczać się czołgi. Z czystej ciekawości zacząłem je liczyć: było ich więcej niż 940. Omijając zakorkowaną Małogoską na obrzeżach miasteczka skręcały na zachód kierując się bodaj na Radomsko.

Później okazało się, że właśnie przyjmowałem defiladę 3 „tankowej armii” jednego z najwybitniejszych dowódców radzieckiej broni pancерnej, generała Rybalki.

Kiedy jako dzieci produkowaliśmy bańki mydlane (dziś już nikt chyba nie uprawia tej rozrywki) należało znaleźć odpowiednią słomkę i ponacinać ją tak na jednym z jej końców, aby utworzyło się coś w rodzaju wachlarzyka. Właśnie lufy, ostatnich czołgów tej kolumny wyglądały jak nasze słomki do baniek mydlanych, tyle że tutaj chodziło o stal. Nieźle sobie, widać, tam pod Sandomierzem postrzelały.

Krajobraz po bitwie

Następnego dnia, tj. 14 stycznia, z prostej ciekawości wybrałem się na dłuższy spacer ulicą Małogoską. Po jej prawej stronie na polach przykrytych niezbyt grubą warstwą śniegu, leżało, w sporych od siebie odstępach, kilka czy też kilkanaście trupów niemieckich żołnierzy. Wszyscy, poukładani na plecach, mieli na sobie tylko bieliznę i skarpetki. I wszystkim, jak maszty na statku, wysoko sterzczały w gaciach zeszywniałe prącia.

Najwidoczniej nasz zapobiegliwy ludek starannie zadbał o to, ażeby nieboszczykom zabrać nie tylko broń i amunicję (ba, nawet hełmy!), bo w tych czasach na wszelki wypadek dobrze było mieć w domu coś, z czego dało się strzelać, i nie tylko drobiazgi osobiste. Ściągnięto także z poległych buty, pasy, spodnie, bluzy (jeśli nie były zbyt zakrwawione) i w ogóle wszystko, co mogło się przydać.

Po kilku dniach trupy zniknęły. Gdzie je pochowano – nie wiadomo.

W kilka dni po bitwie na jednym z pobliskich podwórek znaleźliśmy ciała 17 czy też 18 ludzi ubranych w niemieckie mundury. Sądząc po lampasach na spodniach jeden z nich był zapewne generałem, właśnie użytkownikiem owej luksusowej limuzyny, która nie zdążyła zwiąć z Rynku. Wydawało mi się też, że rozpoznaję zwłoki owego oberleutnanta – wojskowego komendanta Chęcin.

A wszyscy ginęli jednakowo: na skutek strzału oddanego w potylicę z bliskiej odległości. Z rozbitych czaszek wypływały na wierzch mózgi, co utrudniało identyfikację denatów. Zapewne czołwki pancerne w pośpiechu dążące do przodu nie chciały zaprzętać sobie głowy gromadą jeńców, których gdzieś trzeba było zgromadzić, ktoś musiał ich pilnować, ktoś karmić.

Nigdy nie będę w stanie zrozumieć „brzmiącego dumnie” człowieka, który ze spokojem i wprawą, jednego po drugim, w taki właśnie sposób morduje bezbronnych. Podobnych zjawisk nie spotka się nawet w świecie dzikich zwierząt. Wojna – jak wiadomo – polega na zabijaniu. Zabijać zaś trzeba

choćby po to, ażeby samemu nie zostać zabitym, więc niejako w obronie koniecznej. Jeśliby zaś nawet ktoś nie chciał zabijać wrogów, zginie jako dezertor, od kul własnego plutonu egzekucyjnego.

Przeto w czasie wojny rośnie zapotrzebowanie na jednostki o określonych predyspozycjach. Zyskują więc w cenie ci, którzy zabijają więcej i bardziej skutecznie, dokładniej niszczą, burzą, wysadzają w powietrze, strącają, zatapiają etc. To im właśnie przypadają order i awanse, to oni staną się obiektami powszechnego uznania, im będzie wolno chodzić w glorii bohaterów.

A kiedy zabijanie staje się i powinnością i chwałą, życie ludzkie przestaje być chronioną wartością, a śmierć człowieka nikogo już nie porusza, chyba że był to ktoś nam bliski.

WII wojnie światowej metody i zakres zabijania podyktował niemiecki nacjonalizm. Teraz przyszła pora płacenia za to rachunków.

Przeto ci, co rozpętali w nieznanym dotąd w dziejach nasileniu barbarzyństwo, nie mają najmniejszego prawa zgłaszać pretensji o to, że często odpłacano im tą samą monetą.

Ażeby zaś zakończyć tę opowieść o checińskiej batalii bardziej pogodnym akcentem: po kilku dniach na polu pod miasteczkiem wylądował kukuruznik. Pilotujący go Rosjanin przywiózł ze sobą spory pakiet ulotek informujących nas o treściach Manifestu Lipcowego.

Oczywiście zaraz opadliśmy go, grupa wyrostków, i przyjęliśmy od niego ów ładunek zobowiązując się rozkolportować to wśród naszych dorosłych.

Przy okazji także i my sami dokładnie obejrzelśmy ów tekst. Uprzednio nikt nie ukrywał pewnej, nazwijmy to, nieufności wobec zmian, jakie zapewne muszą nadejść. Dokument ten nie wzbudził u nas zastrzeżeń, zwłaszcza, że w okolicy nie było ani jednego majątku obszarniczego przewidzianego do parcelacji, ani też przemysłu w ogóle, zwłaszcza takiego, który mógłby być upaństwowiony.

Znajdowała się w nim natomiast m.in. obietnica otwarcia dla wszystkich szerokiego dostępu do nauki, jedna z tych, które rzeczywiście miały doczekać się realizacji.

Zastanawialiśmy się przeto: a może nie taki znów straszny ów diabeł, jakim go nam malowano?

Coda

Niemcy bronili się w Kielcach przez trzy dni i wycofali dopiero wtedy, gdy groziło im całkowite okrążenie. Już w tydzień później matka zdecydowała, że powinniśmy do Kielc wrócić. Zapewne skłoniło ją do tego kilka powodów, i ten, że nadal mieszkała tam cała jej, więc także i nasza, rodzina, chciała przeto znowu znaleźć się bliżej swoich, i ten, że nigdy nie lubiła siedzieć zbyt długo w jednym miejscu, i ten, że Chęciny kojarzyły jej się z wielu przykrymi doznaniem. Przyczyną najistotniejszą był fakt, że powinienem był teraz pójść do gimnazjum. Opiekę nad dziećmi uważała za cel swojej egzystencji, ponieważ zaś cechowało ją coś, co można by nazwać silnym instynktem stadnym, nie mogła sobie wyobrazić, ażeby któregokolwiek z nas na dłużej stracić z pola widzenia.

Nim doszło do przeprowadzki, pierwszy raz w życiu przeżyłem chwilę autentycznego strachu. Kiedy bowiem pewnego dnia zbudził nas alarm sąsiadów „Pali się”, tylko ja wiedziałem, czym to może nam grozić.

Otóż na dobre kilka tygodni przed ofensywą niemieccy żołnierze zaczęli znosić do magistratu otwarte skrzynki z amunicją i materiałami wybuchowymi. Natychmiast – grupa wyrostków – rzuciliśmy się im pomagać. Przyjęli to z nieukrywanym zadowoleniem, ponieważ skrzynek było sporo.

Toteż kiedy później podważyłem deskę w podłodze na naszym strychu, co wydawało nam się najlepszym pomysłem na schowek, mogliśmy tam włączyć kilkanaście „pozyskanych” lasek trotylu i tyleż granatów ręcznych – tak zwanych jajek – czyli zaczepnych. Tak wyglądał plon naszej gorliwej kolaboracji z okupantem. Później zbiór ów wzbogaciły jeszcze spore ilości amunicji wyzbieranej przez nas skrzętnie już po wejściu do miasta żołnierzy radzieckich.

Słyszac więc okrzyk „pali się” uprzytomniłem sobie natychmiast, że jeśli ogień dotrze do tego arsenału, przestanie istnieć nie tylko nasza kamienica, ale kilka sąsiednich.

Na nasze szczęście to tylko sadze zapaliły się w kominie. Rozżarzone iskry łatwo przepaliły drewniane (sic!) drzwiczki od przewodu kominowego znajdujące się w komórce przylegającej do drzwi mieszkania, tyle że właśnie pod tymi drzwiczkami stała duża beczka: trzymaliśmy w niej deszczówkę. W zimie zamarzała na lód, aliści pod wpływem spadającego na niego żaru lód topił się, niejako samoczynnie ograniczając rozprzestrzenianie się ognia.

Zbudzeni bez trudu zatem mogliśmy opanować z pozoru groźną sytuację.

Wkrótce wyjazd jednak nastąpił i mogłem nareszcie rozpocząć normalną naukę w polskim gimnazjum. Wprawdzie tam gdzieś, coraz dalej od nas, toczyła się jeszcze wojna, rezultat jej wydawał się być już przesądzony, toteż spokojnie można było skupić uwagę na lekcjach, zeszytach i podręcznikach.

Kiedy przed odjazdem żegnałem się z moimi Chęciniakami, prorokowali „Ty tu jeszcze kiedyś wrócisz, ale samochodem”. Tak właśnie wyobrażali sobie następstwa oczekującej mnie kariery. Co do siebie byli niemal pewni, że jak ich ojcowie, dziadowie i pradziadowie sami nigdy się z miasteczka nie ruszą.